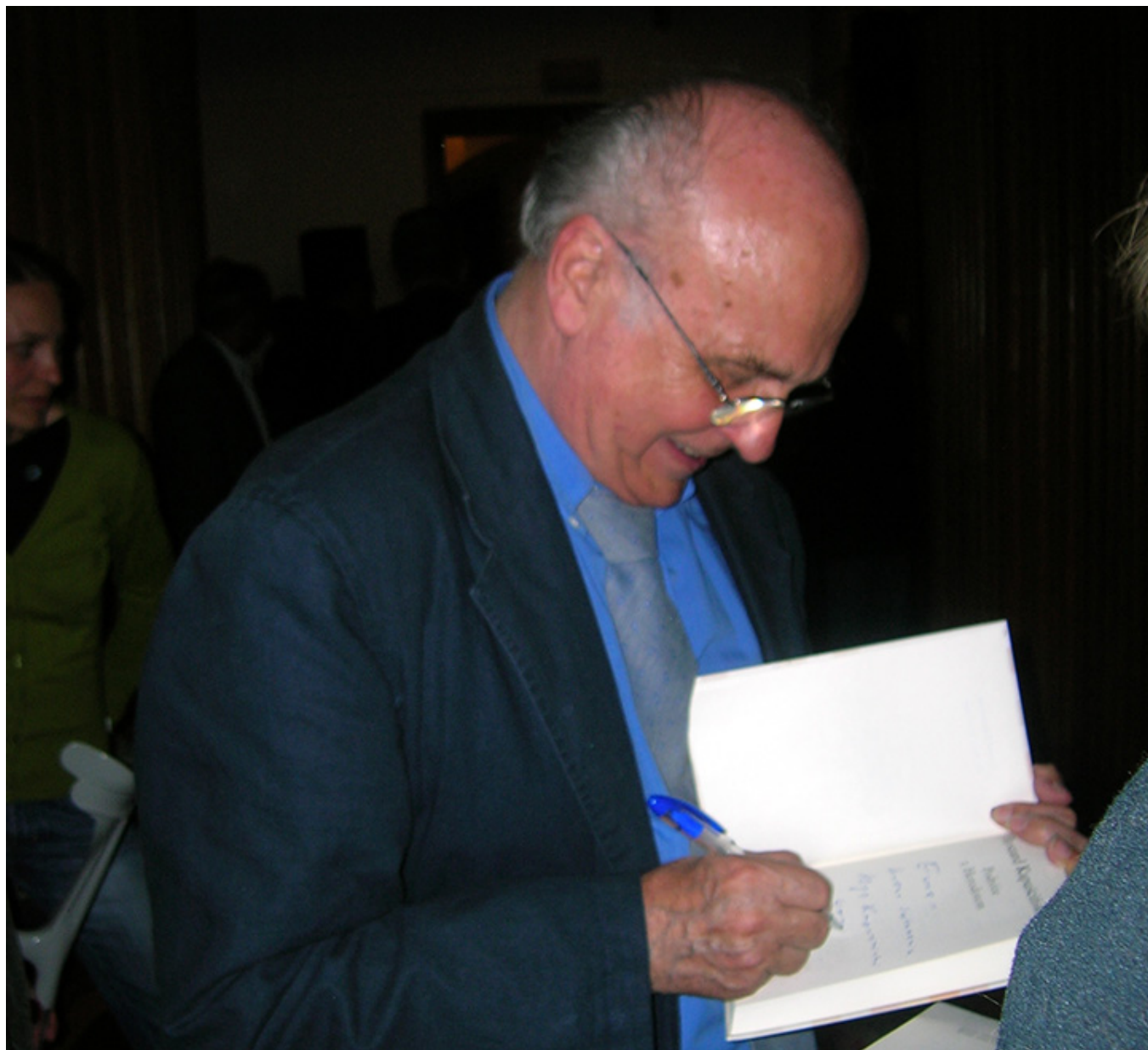


Odłożona rozmowa o Polesiu i Kresach



Ryszard Kapuściński w Domu Literatury w Warszawie, 2 października 2006 r., fot. R. Mieczkowski

Romuald Mieczkowski (*Wilno*)

Widziałem Go ostatni raz 2 października 2006 r. w Domu Literatury, na Krakowskim Przedmieściu, w Warszawie. Podczas wieczoru poetyckiego. Siedzieli we trójkę na scenie, w wypełnionej, rzadko ostatnio, po brzegi sali. W środku – Julia Hartwig, bohaterka spotkania, która miała cykl spotkań z okazji

swego 85-lecia. Obok – jej przyjaciele – Ewa Lipska, pełna optymizmu i witalności, która zagaiła ten wieczór, zaś po lewej stronie pani Hartwig – właśnie Kapuściński. Mówił cichym, bardzo spokojnym głosem, o wątkach reporterskich w jej twórczości, uśmiechając się pogodnie.

Po spotkaniu miał pełne ręce roboty – co rusz podchodzono do Niego po autografy. Każdy chciał z Nim zamienić choć parę słów, zrobić razem zdjęcie. Był na topie – jego kandydaturę zgłoszono do Nagrody Nobla, dyskutowano półgłosem o szansach dla kolejnego Polaka. Odczekałem aż będzie wolniejszy i zapytałem pisarza:

– Kiedy Pan znajdzie trochę czasu na tę naszą rozmowę, która ciągle się odkłada?

Odpowiedział, że dłuższa to może być rozmowa. Że więcej czasu raczej będzie chyba miał już po powrocie z Ameryki, dokąd ma wyruszyć z wykładami na Uniwersytecie Columbia... Zapewnił mnie, że na pewno da mi znać, że musi się zastanowić co do terminu, że również chce ze mną porozmawiać.

A miała to być szczególna rozmowa. Od dawna chciałem bowiem porozmawiać z Mistrzem Reportażu. Nie o szerokim świecie, dalekich krajach i zaskakujących puentach w postrzeganiu *innego* obok, nawet nie o tajemnicy bycia poetą – co o

rodowodach Jego rodziny, o Polesiu, którego czar do dzisiaj żyje we wspomnieniach ludzi stamtąd się wywodzących, o Pińsku. Chciałem pokazać mu zdjęcia z Jego rodzinnego miasta i Polesia, wykonane przez Zofię Chomętowską. Pierwsze pochodzą z roku 1916, inne z lat dwudziestych. Dotarły one do mnie okrężną drogą, zwycięsko pokonując czas i wszystkie niedogodności losu aż z Argentyny. Przysłał mi je w darze, jako redaktorowi, piszącemu o ludziach z dawnych Kresów, Antoni Koelichen, z życzeniem, abym w odległych czasowo i bliższych terytorialnie praźródłach ojcowizny przybliżył sobie tamte strony, przysłał mi te unikalne zdjęcia z przekonaniem, że zostawia je „w pewnych rękach”.

Chciałem zapytać Kapuścińskiego o Jego przedwojenne dzieciństwo, o pierwsze kroki człowieka z Kresów w Polsce. O tym, czym ta kraina jest dla Niego dzisiaj. Tak się stało, że o tym znacznie mniej wiemy – wątki, pozornie monotonne i mniej ciekawe dla większości Jego rozmówców, niczym błota, mokradła i rozlewiska Polesia, zostały przyćmione dalekimi podróżami reportera i Jego rozważaniami nad pojęciem etyki i tolerancji w dzisiejszym świecie.

Miała to więc być rozmowa rodaków ze Wschodu, których łączy osobliwa nić porozumienia, jak stwierdził Pan Ryszard. Dla mnie – uczta słuchania, dowiedzenia się wielu istotnych rzeczy, poznanie Kapuścińskiego z tej, mało eksponowanej strony.

Sławnego reportera poznałem w dość dziwnych okolicznościach. *Pierestrojka* weszła u nas w swą burzliwą fazę przemian. Na Litwie zaczynało na dobre wrzeć. W 1989 roku zawitał do Wilna Ryszard Kapuściński. Nie wiem, w jaki sposób odnalazł mój telefon i kto Mu go dał, w każdym razie zadzwonił do mieszkania na Karolinkach, gdzie wówczas mieszkaliśmy, i poprosił o spotkanie. Po chwili przybył, chyba taksówką, razem z Piotrem Ikonowiczem. Już na wstępie dostałem ofertę współpracy z PAP, co więcej, Kapuściński wręczył mi coś w rodzaju akredytacji czy legitymacji, po polsku i po angielsku, dokument z odpowiednią pieczęcią, co pozostało gdzieś w papierach, ale już w innym mieszkaniu.

Ale moje losy tak ułożyły się, że i z tej oferty, jak i z wcześniejszej oferty robienia doktoratu w Instytucie Kulturoznawstwa we Wrocławiu, u prof. Stanisława Pietraszki, wyszły nici – z początku byłem zaangażowany mocno w działalność pierwszej po wojnie społecznej organizacji polskiej, której byłem współzałożycielem, wiele czasu wymagała praca w telewizji, gdzie prowadziłem magazyn cotygodniowy, owładnęła też mną redaktorska pasja przy wydawaniu „Znad Wilii”, pełna na tamtym etapie niepewności i trudnych zakrętów. Tym niemniej wysłałem jakieś informacje pod wskazany adres.

Znajomość odnowiła się na początku roku 2005, po tym, jak spotkaliśmy się w Warszawie, podczas wręczenia nagród przez

redakcję „Rzeczpospolitej”.

- Śledziłem w ciągu lat pana działalność - powiedział wtedy podczas przyjęcia. - Jak się panu powodzi?

Zamiast opowiadać, dałem Mu numer kwartalnika „Znad Wilii”, jaki miałem ze sobą.

Po pewnym czasie otrzymałem list, datowany 13 marca 2005 roku. Znany reporter i poeta pisał:

Drogi Panie Romualdzie,

Było mi przyjemnie spotkać Pana na uroczystości wręczenia Nagrody Dariusza Fikusa i chociaż przez chwilę z Panem porozmawiać. Dziękuję za ofiarowany mi 4 numer kwartalnika „Znad Wilii”. Jestem pełen podziwu, uznania i szacunku dla tego, co Pan i Pańscy współpracownicy robicie na Litwie, zachowując tak wysoki poziom pisarski i informacyjny.

Życzę Panu wszystkiego najlepszego i załączam szczere, przyjacielskie pozdrowienia.

Odpisałem na ten list. I właśnie wtedy zaczęła kiełkować chęć

dłuższej rozmowy, chęć słuchania tego niezwykłego człowieka. Potem spotykaliśmy się przy okazji wieczorów literackich, m.in. w warszawskim Klubie Księgarza, w Muzeum Adama Mickiewicza.

Ryszard Kapuściński odezwał się, jak mówił przy okazji ostatniego spotkania. W ostatnim e-mailu, datowanym 28 października 2005 roku, ubolewał, że na razie nie możemy się spotkać, bo intensywnie pracuje nad kolejną książką – *Lapidarium VI*, zaś spotkania i rozmowy Go bardzo rozpraszają. Prosił o wyrozumiałość, wyrażając nadzieję, że takie spotkanie na pewno się odbędzie...

Polacy w Petersburgu

**II Światowe Forum Nauki Polskiej poza Granicami Kraju,
Pułtusk 2019 r. Materiały z konferencji.**



Jerzy Downar w czasie swojego wystąpienia podczas Forum Nauki Polskiej poza Granicami Kraju w Pułtusku, we wrześniu 2019 r., fot. J. Sokołowska-Gwizdka

Jerzy Downar (*Petersburg, Rosja*)

Według Dostojewskiego Petersburg to „miasto umyślne”. Ma cztery wymiary, czwarty to kropka na mapie, czyli dążenie do nieskończoności. Bycie (życie) w Petersburgu toczy się nad przepaścią, poręcze schodów zawisają nad przepaścią matematyczną, bo miasto to matematyczne, bo miasto to widmo, które swoich mieszkańców zamienia w widma. Północna Palmira to Palmira „widemna”, to „widemne” miasto.

Na przełomie wieków XIX i XX nad Petersburgiem zauważono „przedpotopowe pociemnienie obłoków” i „zaśmiertelną” symbolikę, z czym łączono nowy kosmiczny rytm i tworzenie nowej kosmologii oraz kosmogonii. Według niej kosmiczny pejzaż Petersburga składa się z mgły, cieni i chaosu. To wszystko przydaje jemu złudę i nierealność. Tak odczuwał i przyjmował to miasto na początku XX wieku Andrzej Biały w swojej wybitnej powieści „Petersburg”. A dalej narzekał na to, że nadchodząca materialnie-mechanistyczna kultura przeszkadza nam odbierać to miasto i miejsce w jakim się znajduje, w taki sam sposób jak postrzegali je jego mieszkańcy w dalekiej przeszłości.

W 1300 roku Szwedzi wybudowali tu miasto i nazwali je Landskrona. W 1301 roku najeźdźcy z Republiki Nowogrodzkiej pod dowództwem księcia Andrzeja, syna Aleksandra Newskiego, zburzyli je i do szczytu spalili. W 1348 roku szwedzki król Magnus zajął wyspę Brzozową, ale nie na długo, po czym w ujściu Newy zaczęły pojawiać się rosyjskie osiedla. Ci co byli na prawym brzegu Newy, należeli do Spasko-Gorodeńskiego „pogostu”, Orzechowskiego powiatu, na lewym brzegu – do Nikolsko-Iżorskiego „pogostu”, Nowogrodzkiego powiatu. Największa liczba osiedli znajdowała się nad rzeką Ochta i należała do noworodzkiego posadnika (urzędnika książęcego, red.) Timofieja Jewstafjewicza Gruzowa. Współczesna Piotrogradska Storożna, była wówczas wyspą o nazwie Fominowa, posiadała pięć wiosek, a w nich trzydzieści dwa dziedzińce i była

przydzielona do gminy Łachta, za właściciela której uważano namiestnika miasta Orzeszka. Wyspa Wasylewska była wtedy własnością dwóch posadników Samsonowa i Wjazgunowa. Miejscowość wzdłuż lewego brzegu Newy, na przeciwko wyspy Fominoj (dzisiejsza Admiraltyjskaja część miała nazwę Fominego końca). Na miejscu dzisiejszej Aleksandro-Newskiej Ławry znajdowała się wioska o czterech dziedzińcach i nazywała się Wichrowo-Fiedorkowo. Na lewym brzegu wyspy Jełagina była wioska Spaskoje, a dalej na miejscu obecnej Staroj Dierewni myza (budynek lub grupa zabudowań należących do jednej rodziny, red.) Ustinowa, koło Letniego Ogrodu myza Pierwuszyna, na Fontance – Usadnica itd. W sumie myz i wiosek było około czterdziestu. Pobierano podatki do skarbu posadników, najpierw płacono sigami, piwem i lnem, a przez jakiś okres czasu pieniędzmi. W 1593 roku na tych ziemiach przeprowadzony był tak zwany „obysk” (spis, red), w rezultacie czego okazało się, że mieszkańcy tych wiosek strasznie biedują, ale żadnych kroków mogących zmienić sytuację, nie podjęto.



Grawiura: St. Petersburg i Newa 1753. Valeriani Joseph i Machaew Michail Iwanowicz, fot. wikipedia

W 1583 roku Szwedzi ponownie próbowali zawładnąć ujściem rzeki Newy i wznieść nową fortecę, lecz bezskutecznie. Rosjanie trzymali w rękach tę miejscowość aż do nastąpienia tzw. „smutnego wremienia”, kiedy to Szwedom udało się założyć w ujściu rzeki Ochta miasto Nien, a na przeciwległym brzegu – twierdzę Nienszanc. 1 maja 1703 roku Rosjanie opanowali tę twierdzę, a 6 maja Piotr I odniósł zwycięstwo nad Szwedami koło obecnego Jekatierinhofa, biorąc jako trofea dwa wojskowe statki. To było pierwsze morskie zwycięstwo Rosjan. Piotr I kazał upamiętnić to wydarzenie medalem z napisem „niebywajemoje bywajet” i był tak pewien tego, że jest niezwyciężony, że 29 czerwca nad brzegiem Newy założył miasto, które nazwał Sankt-Petersburgiem. Będąc wielkim reformatorem postanowił połączyć w tym mieście Rosję z Europą, Wschód z Zachodem, Europę z Azją. Niestety sojusz ten nie dał oczekiwanych rezultatów, oprócz rozwoju cywilizacji, który ujawnił się tylko i wyłącznie w zewnętrznych stronach życia i w przeobrażeniu Rosji w „śpiącą piękność”. Pozostał bardzo duży kontrast

pomiędzy Zachodem a Wschodem. Syntezy osiągnąć się nie udało i nie ma jej do dziś.

Tym niemniej przez wiele dziesiątek, jak nie setek lat istniała tutaj liczna polska społeczność. Oblicza się, że od 1703 roku, od kiedy Piotr I założył miasto, do 1914 roku przeszło przez nie ok. 250 tys. Polaków. Właściwie losy Polaków wiązały się z wieloma krajami i miastami. Różne były ku temu przesłanki i siły napędowe. Polacy docierali wszędzie, jednak w czasie długich lat rozbiorów, kierunek północno-wschodni okazywał się jednym z najbardziej uczęszczanych. Jego docelowym punktem był Sankt-Petersburg, od 1712 roku stolica olbrzymiego imperium rosyjskiego. Początkowo przyjeżdżali tu Polacy w sprawach urzędowych, potem ci, którzy mieli do załatwienia własne sprawy majątkowe, jak i ci którzy chcieli się wzbogacić. Potem zaczęli przyjeżdżać uczeni, literaci, kompozytorzy, ludzie teatru, fachowcy z branż technicznych. Mieszkali tutaj wybitni polscy politycy, ludzie intelektu i pióra, uczyli się przyszli lekarze, inżynierowie, mistrzowie sztuk plastycznych. W Petersburgu przebywał najwybitniejszy z polskich wieszczów narodowych Adam Mickiewicz.

Przybywało wielu obywateli średnich klas, ale jeszcze liczniejsze masy biedaków, tysiące bezimiennych robotników, wyrobników, służby domowe, uciekające z Polski przed nędzą. Były też, niestety, bezdomne dzieci podrzucane najczęściej u bram

kościółów. Ale była również i piękna działalność charytatywna (przysiężki, warsztaty, ochronki), zasługujące na najwyższy szacunek i uznanie.

Jedni przyjeżdżali do Petersburga po wielką radość życia i karierę, drudzy po chleb powszedni. Jedni przyjeżdżali dobrowolnie, drugich przywożono pod eskortą i w kajdanach. Czasami ludzie wyrzekali się swej polskości, albo też starannie ją ukrywali. Jednak mimo wielkich przeciwności (upadek w 1831 roku powstania listopadowego, a w 1864 - styczniowego) polskość w tym mieście bujnie rozkwitała. Z biegiem lat pięknie rozwijało się polskie życie kulturalne, społeczne i religijne, aż do 1918 roku, kiedy to większość Polaków opuściła to miasto wracając do swojej Ojczyzny.

Nie w polityce, ale w nauce, w sztuce, w teatrze, a zwłaszcza w przemyśle zajmowali Polacy wybitne, a czasem nawet i kluczowe stanowiska. Uczciwie i sumiennie spełniali swoje obowiązki, pracowali wydajnie, czasami otrzymywali order i awanse. I chociaż działali, mówili i pisali po rosyjsku, jednak zawsze czuli się Polakami. Nie zapominali języka, nie zapominali o swojej przynależności narodowej i religijnej. Często finansowo pomagali różnym polskim instytucjom swoimi wpływami czy też współpracą, a także swoimi zapisami testamentowymi. I prawie wszyscy chcieli umierać w Polsce, na swej ojczystej ziemi.

Każdy z nich mógłby na pewno powtórzyć za wielkim malarzem Aleksandrem Orłowskim, członkiem Akademii Petersburskiej: „Kocham Polskę i Polaków”.



Petersburg, miasto nad Newą, fot. pixabay

Jakże barwne i ciekawe są dzieje i losy Polaków w Petersburgu. Jeśli weźmiemy do ręki np. Polski Słownik Biograficzny, to zobaczymy, przy jak wielu nazwiskach występuje nazwa Petersburg, jako miejsce nauki, pracy, gościnnych występów, czy też innej formy działalności. Piękną kartę stanowiła na przykład działalność Rzymskokatolickiego Towarzystwa Dobroczynnego przy kościele Św. Katarzyny, z niezapomnianą postacią ks.

Antoniego Małeckiego, późniejszego biskupa i syberyjskiego zesłańca. Jakże bolesne, wręcz tragiczne i pełne męczeństwa dla Kościoła w Piotrogradzie-Leningradzie i Polaków były czasy bolszewickiej dyktatury proletariatu, z męczennikiem rozstrzelanym w Moskwie na Łubiance ks. Konstantym Budkiewiczem i skazanym na śmierć Janem Cieplakiem oraz tysiącami tych, którzy dzisiaj spoczywają w braterskich mogiłach w Lewaszowie, na cmentarzu ofiar stalinowskich represji 1937-1954. I nie tylko tam. W okresie od 1939 do 1960 roku polscy więźniowie znaleźli się w wiosce Jogla obwodu Nowgorodskiego, w uroczysku Sandormoch w Karelii, w Kotlasie, w Workucie, na wyspach Solowieckich i w wielu innych miejscach.

Lewaszowo – to miejsce tajnego pochówku ofiar NKWD, które było czynne od sierpnia 1937 roku (tuż po rozkazie Jeżowa, po którym rozpoczęto masowe represje, zwłaszcza przeciwko Polakom) aż do roku 1954. Według oficjalnie podanych relacji tu leży 47 tys. zamordowanych, ludzi wielu narodowości i wyznań, najwięcej Rosjan, Polaków i Finów z Leningradu i Obwodu Leningradzkiego. Liczba Polaków wynosi około 4,5 tys., w tym zidentyfikowanych zaledwie 2 tys. Otwarcie cmentarza Lewaszowskiego odbyło się dopiero w roku 1989. Pojawiły się tutaj pomniki i krzyże. Polski pomnik w kształcie uchylonego krzyża z napisem po polsku i po rosyjsku: „**Wybaczamy i prosimy wybaczenie**” był ustawiony 30 października 1993 r.

Rekonstrukcja odbyła się w 1998 roku i do krzyża została dołączona kamienna tablica z orłem i napisem: **„Pamięci Polakom - ofiarom represji, rozstrzelanych w latach 1937-1938. Rodacy”**.

W wiosce Jogla od lipca 1942 aż po 1951 rok był czynny obóz N 270 NKWD, przeznaczony dla więźniów wojskowych i internowanych. Wśród nich byli Niemcy, Węgrzy, Austriacy, Włosi oraz przedstawiciele wielu innych narodowości. Byli tutaj i Polacy - internowani żołnierze polskiej Armii Krajowej. W styczniu 1946 roku ich liczba wynosiła 4230 osób, z której w rosyjskiej ziemi pozostało na zawsze około 500. Wszyscy oni cierpieli głód, dotykały ich choroby, wśród których najbardziej rozpowszechniona była gruźlica. Jeńców wykorzystywano przeważnie w kopalniach węgla brunatnego i w budownictwie. 4 sierpnia 1992 roku odbyło się upamiętnienie ofiar tego obozu i został postawiony 6-metrowy krzyż katolicki z napisem: **„Żołnierzom Armii Krajowej. Koledzy i Rodziny. Jogla”**. Tego samego dnia były odczytane modlitwy żałobne i ustawione krzyże na cmentarzach w Borowiczach, Szybotowie, Opocznie i Ustje.

Uroczyszcze Sandormoch koło Miedwieszjegorska było wykorzystywane jako miejsce mordu mieszkańców pobliskich okolic Karelii i więźniów Bielomoro-Baltyckiego obozu NKWD. (Od sierpnia 1937 do 24 grudnia 1938 roku

zamordowano tutaj około 10 tys. ludzi wielu narodowości, wśród nich 212 Polaków, w tym 23 księży). 27 października 1997 roku na cmentarzu Sandormoch ustawiono pierwsze upamiętniające znaki. Przy każdej z 250 morderczych jam postawiono kaplicę, a koło jednej z nich 4-metrowy krzyż katolicki z napisem: **„Polakom, którzy odnaleźli w tej ziemi wieczny spokój. Rodacy”**.

17 listopada 1995 roku w mieście Kotlas obwodu Archangelskiego zostały ustawione dwa krzyże i tablice pamiątkowe w miejscu dwóch braterskich mogił, poświęcone tym więźniom, którzy w latach 1931-1953 przeszli przez Kotlaslag i kotlaską zsyłkę. Wiadomo, że zginęły tutaj tysiące ludzi różnych narodowości, natomiast liczba Polaków jest do tej pory nieustalona. Napis na tablicy pamiątkowej brzmi: **„Zamordowanym Polakom, Rosjanom i wszystkim innym, którzy leżą w tej ziemi: matkom, ojcom, siostrom, braciom, córkom, synom... Wieczne ukojenie. Wieczna pamięć. Rodacy z Polski. Warszawa. 1995 r.”**.

Workuta - to stolica GUŁAG-u. W samym mieście i jego okolicach od 1938 do 1960 roku znajdowało się ponad 50 obozów dla różnych grup jenieckich. Przez te obozy przeszły setki tysięcy ludzi, w tym tysiące Polaków, setki z tych tysięcy zostało tutaj na zawsze.

GUŁAG na wyspach Solowieckich. Represje wśród duchowieństwa katolickiego w Rosji bolszewickiej rozpoczęły się od razu po ustaleniu bolszewickiej władzy. Pierwsza ekipa katolików obrządku wschodniego była przywieziona na wyspy w 1924 roku. Pierwszy ksiądz katolicki – w roku 1926. W 1929 roku 23 księży było odizolowanych na wyspie Anzer, w roku 1932 ich było już tutaj 32, a w 1937 roku w obozie Solowieckim znajdowało się około 50 księży (większość narodowości niemieckiej).

W tym samym roku uchwałą osobnej trójki NKWD obwodu Leningradzkiego 33 z nich rozstrzelano. Na wyspach Solowieckich w przyszłości planuje się ustawić krzyż dla upamiętnienia zamordowanych.

W Murmańsku na jednym z cmentarzy znajdują się cztery mogiły polskich marynarzy. W latach 1942-44 pełnili oni obowiązki konwoju wojskowego na polskich statkach, broniąc alianckich statków, dostarczających ZSSR broń i żywność. W 1989 roku powstał tu pomnik. Napis w języku polskim brzmi: **„W 50-tą rocznicę wybuchu II wojny światowej w hołdzie marynarzom polskim, poległym w konwojach do Murmańska. Rodacy”** oraz **„Przechodniu powiedz Polsce, żeś widział nas tutaj leżących, gdyśmy świętym jej prawom posłusznym będąc - polegli”**.



Dawny Petersburg

Od tego tragicznego czasu minęło 75 lat, wiele zmieniło się na tym świecie.

I właśnie teraz powstaje pytanie – jak traktować dzisiaj polski Petersburg? Jaka jego jest skala i jakie jego znaczenie w życiu społecznym? Można szukać w każdym domu na Newskim Prospekcie polskich śladów, a inżynierów i architektów Petersburga z polskimi nazwiskami traktować jako Polaków. Do tej pory nie usystematyzowano tych informacji. Kiedy jednak sięga się do regularnego, informacyjno-analitycznego medium albo, encyklopedii elektronicznej, rezultat bezpośrednio zaczyna

zależać od „miejsca montowania” i „optyki”.

Jakie zatem parametry należy wziąć za podstawę dla określenia „polski”? Antropologię (język, wyznanie), może psychologię (samoidentyfikacja), a może politykę (obywatelstwo, służba państwowa) czy może geografię (miejsce urodzenia lub zamieszkania)? Przymiotnik „polski” w języku rosyjskim nie uwzględnia czasowych, przestrzeni tych lub innych cech, właściwych kategorii kwalitatywnych przymiotników, chociaż zawsze je ujawnia. Między innymi z przymiotnikiem „rosyjski” historia jest taka sama. Kiedyś był „ruskim” – stał się „polskim”. Na przykład, petersburski architekt Marian Marianowicz Peretiatkowicz (1872-1916) we wszystkich rosyjskich źródłach był „rosyjskim budowniczym i teoretykiem urbanistyki”, natomiast w Polsce – to polski architekt, w ewentualnie „rosyjski architekt polskiego pochodzenia”. Przejście z rosyjskiego stanu na polski jest widoczne też u innego wybitnego petersburskiego architekta, twórcy polskiego modemu Mariana Stanisławowicza Lalewicza (1876-1944). Jednak z tym twórcą jest prościej: on doczekał się odrodzenia II Rzeczypospolitej i w końcu 1918 roku przeniósł się z Petersburga do Warszawy, zmienił obywatelstwo, tak więc teraz w obu państwach występuje jako „rosyjski i polski architekt”. We współczesnej samoidentyfikacji dość często występuje taka sama sytuacja nieokreśloności – nie tak, jak i nie, dokładnie i tak i nie.

- Pan jest Polakiem? - zapytał się pewnego razu dyrektora Ermitażu Michała Piotrowskiego Adam Michnik. - Mój dziadek był katolikiem - odpowiedział Michnikowi pan dyrektor. Jak widzimy i dzisiaj to co dotyczy "polskiego Petersburga" powtarza się tak samo, jak i za czasów ostatniego imperium.



Petersburg na dawnej pocztówce

Dlatego najbardziej prawidłowym byłoby opowiadać o „polskim Petersburgu” w nowoczesnej, przestrzennej paradygmie, z opisaniem fal migracyjnych i ich wpływu na modernizację przestrzeni miasta w porównywalnej perspektywie. 100 lat temu

polska obecność na newskich brzegach była dość znacząca: w 1897 roku w Petersburgu mieszkało więcej jak 36 tys. Polaków (3% obywateli, trzecie miejsce po Rosjanach i Niemcach), istniały trzy polskie banki, drukowano gazety w języku polskim za środki pieniężne reklamodawców i ze składek zamożnych petersburskich Polaków. Polacy nad Newą okazali się najbardziej mobilną grupą, co szczególnie stało się widocznym na przełomie XIX i XX wieku, kiedy to z Polski do stolicy imperium przyjeżdżało tysiące młodych, ambitnych ludzi, aby tutaj studiować, robić karierę albo... rewolucję. Inżynierowie, lekarze, lotnicy, lingwiści, muzycy, adwokaci, urzędnicy z polskimi korzeniami byli pożądanymi w części wykształconego środowiska miasta, rywalizowali z Niemcami, mimo, że dość często z nimi przegrywali. Jeżeli przypomnieć Polaków - jeńców petersburskich więzień oraz priorytet policji politycznej dotyczącej wrogów wewnętrznych (Polacy na pierwszym miejscu przed Żydami i studentami), to otrzymamy pełną charakterystykę polskich protokołów migracyjnych w stolicy Rosji na początku XX wieku. Poza tym Polacy petersburscy byli liderami samoorganizacji: co najmniej trzydzieści organizacji sportowych, studenckich, religijno-filozoficznych i innych polskich stowarzyszeń zarejestrowano tutaj po 1905 roku. W odróżnieniu od Moskwy, Petersburg był najbardziej polskim miastem w Rosyjskim Imperium. Nawet ci, którzy przyjechali tutaj wbrew swojej woli, jak na przykład Adam Mickiewicz, czy Stanisław Witkiewicz, zostawali natchnieni skalą możliwości i zaczynali

wierzyć w siebie.

Powstanie II Rzeczypospolitej spowodowało polskie przesiedlenia z Petersburga. Repatriacja, wojny, emigracja, ale przede wszystkim strach i asymilacja doprowadziły do tego, że dzisiaj w 5,5 milionowym Petersburgu tylko 2,5 tys. mieszkańców uważa się za Polaków (według spisu ludności z 2010 roku) i jeszcze trochę w obwodzie leningradzkim. Dzisiejsza skala petersburskiej Polonii – narodowościowa mniejszość tego miasta, zajmuje 20 miejsce i wygląda szczególnie kontrastowo na tle, powiedzmy, współczesnego Londynu, gdzie zamieszkuje 200 tys. Polaków, czyli 4,2 razy więcej, aniżeli dzisiaj w całej Rosji, czy też stołecznego regionu Paryża Il-de-Frans, gdzie osiedliło się ok. 40 tys. Polaków. W XXI wieku Polacy nadal zachowują swoją mobilność, tylko bardzo rzadko wybierają Petersburg jako swoje miasto i miejsce do osiedlenia się i samorealizacji. Chociaż niektórzy w Polsce nadal uważają Petersburg, za swoją straconą stolicę.

Cóż więc zostało z tamtych czasów? Polska nadal istnieje w petersburskiej toponomice. Polski ogród przeżył rekonstrukcję, tylko wejście do niego stało się płatne. Ulica Warszawska biegnie w tym samym kierunku, w którym biegła tutaj kiedyś stara Warszawska kolej. Dworzec kolejowy, który nazywa się Warszawski, w 2001 roku został przekształcony w targowy kompleks pod nazwa “Ekspres Warszawski”, natomiast zrobić z

niego drugie Muzeum d'Orsey, niestety, nie udało się. Ulica Kościuszki, nazwana tak pół wieku temu, została nadal ulicą Kościuszki. Restauracja „Wisła”, która była otwarta jeszcze za Sowietów, tak naprawdę nigdy polską nie była, a obecnie stała się zwykłą kawiarnią. Już dawno został zamknięty bardzo popularny polski sklep kosmetyczny „Wanda” w domu № 111 przy Newskim Prospekcie, chociaż tę nazwę nadal daje się petersburskim sklepom – kwiaciarniom, różnego rodzaju butikom z odzieżą dla kobiet i perfumeriom, tylko że import tych artykułów z Polski jest znikomy, jeżeli nie powiedzieć zerowy. Anegdotkę o Prospekcie Solidarności dzisiaj przypominają rzadko. Ów prospekt pojawił się w nowej sypialnianej dzielnicy na prawym brzegu Newy w 1971 roku, a po 13 grudnia 1981 w leningradzkim folklorze pojawiła się taka anegdota:

“Urząd miasta postanowił przemianować prospekt Solidarności na ślepy zaułek Jaruzelskiego”.



Petersburg na dawnej pocztówce

Nowe polskie nazwiska przez ostatnie 25 lat nie pojawiły się: ulicy Mickiewicza nadal nie ma, zresztą ulicy Mandelsztama tak samo. Pojawiło się popiersie Mickiewicza, jeszcze w 2007 roku koło jedynej w Rosji polskiej szkoły w Grafskim zaułku, która niestety od niedawna przestała być polska. Co jeszcze? Jak się okazało, współcześni polscy architekci bezwiednie biorą udział w obecnym budownictwie tutaj w Petersburgu, lub w jego okolicach, czego się nie afiszuje, ale na przykład nowy gmach lotniska “Pułkowo” bardzo przypomina lotnisko Fryderyka Chopina w Warszawie.

Wywołuje to pewne zdziwienie, ale obecnie w trzech

petersburskich teatrach wystawiają sztukę Leonida Zorina "Warszawska melodia". Ta popularna sztuka jest grana chyba od 50-ciu lat, jeżeli się nie mylę, od 1967 roku, czyli od czasu, kiedy mieszkańcy Związku Radzieckiego ogólnie interesowali się polskim teatrem i kinem. Można przypuścić, że to zainteresowanie opiera się na polskim kontekście: Warszawa, polska dziewczyna Hela, możliwość śpiewania na scenie piosenek Ewy Demarczyk i Sławy Przebylskiej. I wcale nie chodzi tu o trafne oddanie ludzkich stosunków poprzez przestrzenne, polityczne oraz mentalne granice.

W Petersburgu mieszka – bo ma żonę Rosjankę – i działa polski reżyser Andrzej Bubien, który wystawia bardzo ciekawe spektakle. W jego spektaklach grają też polscy aktorzy, którzy ukończyli tutaj studia artystyczne. Przed rosyjską agresją na Ukrainie lubił przyjeżdżać do Petersburga Krystian Lupa i Daniel Olbrychski, ale w ostatnich latach ich tutaj nie widzimy. Utworzone jeszcze za czasów radzieckich stowarzyszenia wzajemnej przyjaźni zniknęły bez śladu. W czasach „pierestrojki” Polacy (według spisu z 1989 roku było nas ok. 8 tys., czyli 9-te miejsce wśród mniejszości narodowych) byli liderami w kręgu wspólnot nacjonalnych. W Petersburgu powstało Kulturalno-Oświatowe Stowarzyszenie „Polonia”, które zaczęło starać się o powrót kościelnych domów i pomieszczeń, o odrodzenie polskiej szkoły, zaczęło drukować też biuletyn. W 2007 roku w obecności prezydentowej Marii Kaczyńskiej,

Ludmiły Putinej i byłego gubernatora miasta – Walentyny Matwijenko został otwarty Dom Polski w zaułku Sapiornym, niedaleko od Generalnego Konsulatu USA. Zajmuje parter dużego domu i jest własnością Polski. Tutaj mieszczą się Stowarzyszenia „Polonia”, „Związek Polaków imienia Antoniego Małeckiego”, jedyne na całą Rosję wydawnictwo „Gazety Petersburskiej”, biblioteka z dużą ilością polskich książek, no i jeszcze odbywają się tu kursy języka polskiego. W 2010 roku bibliotece zostało nadano imię Rajmunda Piotrowskiego, wybitnego petersburskiego lingwisty i pierwszego prezesa „Polonii”. Oczywiście, że zasadniczo głównymi autorami i organizatorami są Generalny Konsulat RP w Petersburgu, Instytut Polski no i jeszcze parę lat temu był Wydział Handlu i Inwestycji, ale w ostatnich latach polski biznes wycofał się z rynku rosyjskiego. Dom Polski też jest tymczasowo zamknięty z tego samego powodu. To co mamy na dzień dzisiejszy, czym żyjemy obecnie, to wszystko można wyliczyć na palcach jednej ręki – chociaż nadal odbywają się wystawy książki polskiej, fotogalerie, konkursy, festiwale filmowe (tygodnie kina polskiego) oraz różnego rodzaju konferencje i dyskusje.

Na tym tle szczególne znaczenie mają samodzielne poczynania, które nadchodzą z zewnątrz. Na przykład pewien polski wielbiciel tanga Krzysztof Marczyńczyk zaczął wydawać tutaj gazetę pod nazwą „Tango. Sankt-Petersburg”. Niejaki Walery Pisigin na swój koszt wydał książkę „Biesiady polityczne. Polska

1989”, a piłkarze klubu “Ingrija” zorganizowali „fleszmob” z czytaniem wierszy Zdzisława Dembickiego.

Nie ma ich w pejzażu petersburskim, ale proszą się na świat – moim zdaniem – takie obiekty jak restauracja polska, sklep książki polskiej, polska galeria itd. Ale dopóki tego wszystkiego jeszcze nie ma, to jeżeli dobrze pogrzebać w rodowodzie prawie każdego z moich rosyjskich znajomych, można odnaleźć polską babcię, polskiego pradziadka, polskiego wujka, tak że pracy w opisywaniu współczesnego “polskiego Petersburga” na długo wystarczy.

Jerzy Downar ma opracowany program muzyczno-patriotyczny, z gitarą, na tle wyświetlanych na ekranie fragmentów starych kronik, fotografii, szyldów itd. Będzie można się z nim spotkać podczas wieczoru artystycznego w poniedziałek 27 stycznia 2020 r. w Lublinie, w Domu Kultury LSM. Chętnych serdecznie zapraszamy.

Redakcja

Program artystyczny Jerzego Downara:

<https://www.youtube.com/watch?v=PzTIPO6xots>

Pastelowa wstęga Möbiusa na czarnym tle. Część 2.

50 lat twórczości Andrzeja „Dudiego” Dudzińskiego



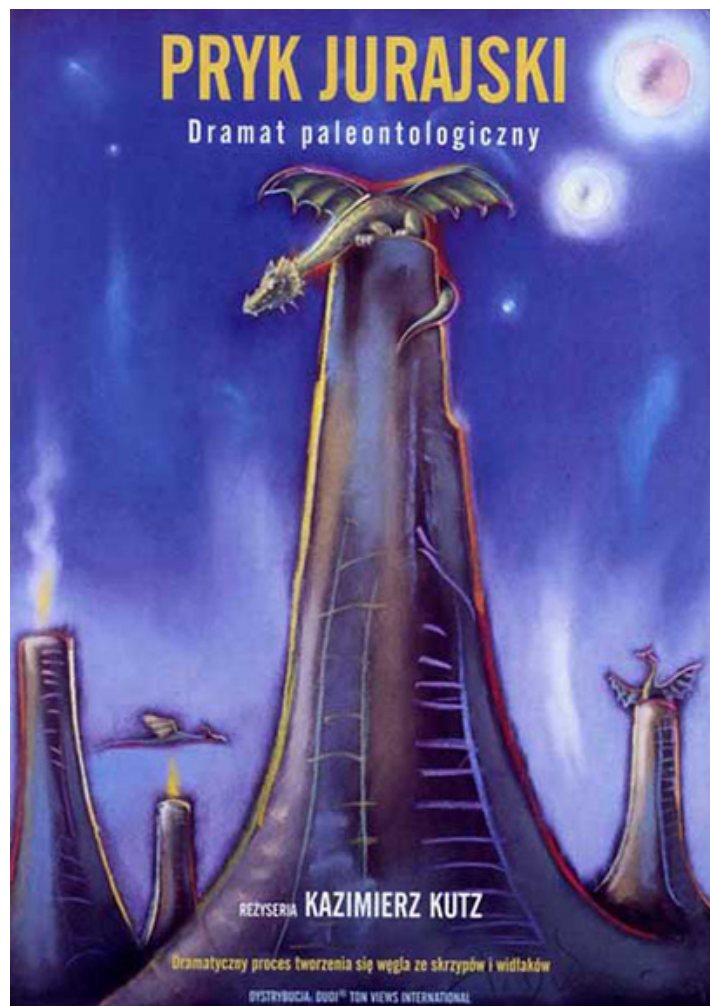
Andrzej Dudziński, fot. miasto.sopot.pl

Krzysztof Kasprzyk (*Sopot, Toronto, El Chalten w Patagonii*)

Konsekwencja wewnętrznej potrzeby

Po zagnieźdzeniu się z powrotem w kraju ma wystawy indywidualne, przy czym pierwszą, w 1996 roku, była wystawa w Sopocie. W tym samym roku wychodzi ważna monografia „Andrzej Dudziński” (w opracowaniu Joanny Szczęsnej) omawiająca twórczość artysty i jego dokonania. W 2001 otrzymuje tytuł Honorowego Obywatela Sopotu, a w sześć lat później, na Monciaku pojawia się mural – Ptak Dudi, który na skutek przebudowy domu zniknął w rok później.

Ukazują się książki autorskie Dudzińskiego: „Superptak Dudi” (W AiF, Warszawa 1996) i „Kino Andrzeja Dudzińskiego” (W AiF, Warszawa 1996) – zabawny pastisz dzieł filmowych, z podmienionymi tytułami, a czasem nazwiskami reżyserów i aktorów;



Andrzej Dudziński, źródło: Internet



Andrzej Dudziński, źródło: Internet

„W dolinie ciekawości” (z Magdą Dygat; MAW, Warszawa 1997) oraz „Pokrak” (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1998). W 2002 roku stał się wykładowcą w Wyższej Szkole Sztuk Wizualnych i Nowych Mediów w Warszawie (do roku 2006) i pracował nad serią obrazów cyfrowych. W międzyczasie pojawia się na łamach „Rzeczpospolitej” (lata 2004 – 2006) nowy komentujący stwór – Hipol. Rodak, niby przyciężki, lecz z błyskiem w komentarzach, niby pocziwy, a pod spodem cwaniak i pozer.

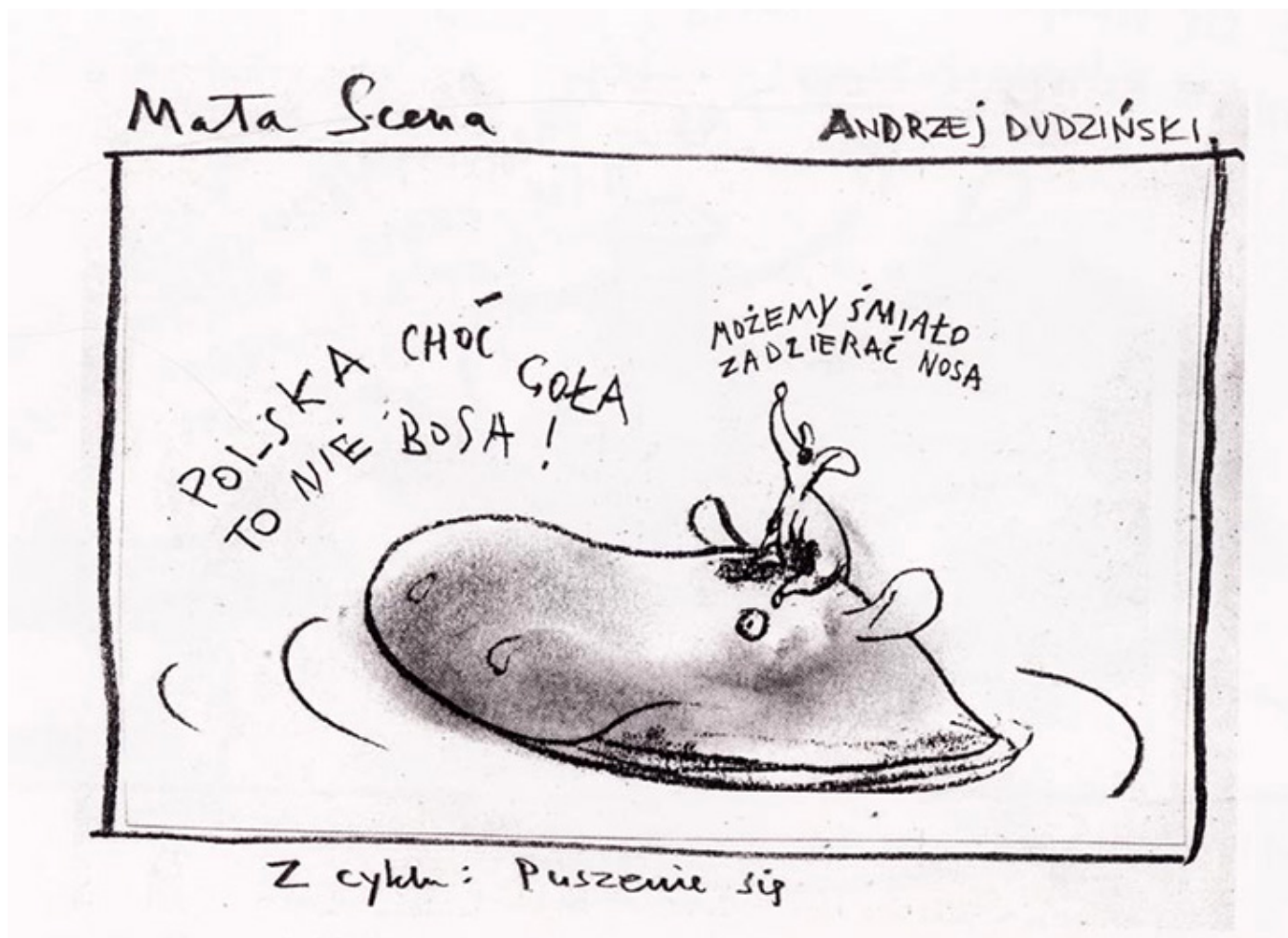
MaTa Scena

z cyklu: GRUPY NACISKU EGZEKUJĄ

TAKIEJ PRÓBY LOJALNOŚCI
NAJBARDZIEJ NIE CIERPIĄ
KOŚCI.



Andrzej Dudziński, źródło: Internet



Andrzej Dudziński, źródło: Internet

W 2007 roku TVP Kultura w cyklu „Niedziela z...” gościła Dudzińskiego (i ponownie w 2012 roku), a TVP2 pokazała w rok później interesujący film dokumentalny Małgorzaty Łupiny pt. „Dudi”. Kolejną pozycją książkową był „Mały alfabet Magdy i Andrzeja Dudzińskich” (z Magdą Dygat; Wydawnictwo Literackie, Kraków 2009).

Nic dziwnego, że nowe doświadczenia na starym gruncie, wprowadziły dodatki do stylu Dudiego. Ulubioną formą pozostają kolaże, bo takimż czynił swoje życie, mieszając ciepło z ironią, eksperymenty z przenikliwą obserwacją, a w felietonowych

rysunkach refleksyjny humor zasadzał się na zdolności do wyłapywania licznych ludzkich potknięć, a nawet idiotyzmów. Zauważmy na przykład tytuł poniższego rysunku - "Businessmen looking for ideas"



Andrzej Dudziński, źródło: Internet

Andrzej ma skłonność do zauważania specyficznych przedmiotów, gadżetów i pierwsze na nie spojrzenie coś w nim

wzbudza na tyle, że je podnosi, zabiera lub fotografuje, czując intuicyjnie, że kiedyś to wykorzysta, że kiedyś to się ułoży w nowe formy, w nowe zestawy. W kolejne odczytywanie rzeczywistości, lecz z drugiej strony lustra. I to nie na zasadzie odbicia. Jak powiedział w jednym z wywiadów „realizm posiada pewną wartość związaną z miejscem i czasem, ale iluzje można wykreować trójwymiarowo”.

Jednocześnie te nowe formy - asambláže - podlegają kontroli, obramowaniu, w które są wtłaczane, wciskane, przyklejane, przyszpilane, przybijane a nawet wkręcane.



Andrzej Dudziński, źródło: Internet

Dudi jest wręcz zafascynowany uległością i plastycznością papieru, jakże bogatego materiału do artystycznego wyżycia się i spełnienia. Stąd fascynacja starymi kopertami określonego typu, np. Manilla (papier pakowy lub karton, tzw. banan manilski z konopii czyniony...). Koperta jako pomost porozumienia między ludźmi. Po drodze jej przechodzenie poprzez inne ręce pozostawiające nie raz przypadkowe ślady. Przetworzone koperty (zagruntowane kredkami, bielą czy akrylem, pokryte

liniami i plamami) są jak wrzutki w świat, jak ponownie nadane, tym razem do nieznanego odbiorcy.



Andrzej Dudziński, źródło: Internet

Nabierają podwójnego sensu – dalszego istnienia i trwania w objęciach sztuki. Może też ukazują bezsens przemijania? Te zmiany stylu i użytych ku temu materiałów, to nieustanna wędrówka poszukiwawcza, oparta na tym co go akurat wchłonęło

i powiązało jednocześnie ze stanem ducha, w danym okresie. Bynajmniej nie w momencie, bo moment jest zarezerwowany do nagłego dodania na koniec jakiejś szybkiej kreski. Okres jest nanizany w czasie przepływem nowej lub odmiennej energii twórczej.

Nic dziwnego że Andrzej zabrał się także za film i w roku 2015, na zamówienie TVP2, wyreżyserował, według scenariusza Magdy, film paradokumentalny z okazji 100-lecia urodzin Stanisława Dygata pt. „Mój ojciec Staś”. Nie chcę zdradzać jego treści, bo jest tam szereg bardzo udanych chwytów dla ilustracji historii Dygata, włącznie z wypowiedziami o nim innych, znanych ludzi. Uważam, iż najważniejsze jest w nim chirurgiczne wręcz odsłonięcie stosunków wzajemnych ojca i córki, z całym zawikłaniem i skomplikowaniem, gdy po zabawnych anegdotach widzowi śmiech szybko zamiera. Śmiem twierdzić, że ów film był dla Magdy oczyszczeniem, końcowym akordem leczenia traumy. Bo nie ma mowy by tego typu relacje pozostały w człowieku bez śladu. I czuję także, że Andrzej w taki sposób reżyserując ten film, bardzo Magdzie pomógł.

Sopockie spotkanie

Mój indiański przyjaciel, szaman Duke Redbird, twierdzi że

niemal nic w życiu nie zdarza się przypadkiem. Będąc w ubiegłym roku w Polsce, natrafiłem na informację o wystawie i spotkaniu z Dudzińskimi w Dworku Sierakowskich w Sopocie, siedzibie Towarzystwa Przyjaciół Sopotu. Wystawa, pod przewrotnym tytułem - Man - Hat - Tan (człowiek, kapelusz, opalenizna) była już czynna od początku sierpnia 2019 r., ale spotkanie, finałem nazwane, miało miejsce 25 września - na cztery dni przed moim odlotem z Warszawy do Toronto.



Fot. K. Kasprzyk

Nie mogłem odpuścić okazji spotkania się z Dudim po 34 latach (akurat tyle samo lat mieszkam w Toronto). Przeto w pociąg i do Sopotu.

Na marginesie – Dudi nie byłby sobą gdyby nie zamieszkał w otchłaniach czasu, bowiem w roku 2011 obchodził 40-lecie swej pracy artystycznej, także w Sopocie a tu nagle, po 8 latach, bach... 50 -lecie. Dudi miał latem dwie wystawy – jedna w

Sopockim Domu Aukcyjnym – ilustracje i rysunki, drugą w Dworcu, gdzie przedstawił głównie ilustracje do „Antygony w Nowym Jorku” oraz fotografie tego miasta.



Andrzej Dudziński, źródło: Internet



Andrzej Dudziński, źródło: Internet

Na finisażu Dudzińscy pokazali dwa filmy Małgorzaty Łupiny – dokument „Dudi” i świetny film animowany w reżyserii Małgorzaty, oparty na projekcie plastycznym i scenariuszu Dudzińskiego pt. „Dłuży się Doży”. Film ozdobiony cytatem z Gombrowicza – „Normalność jest linoskoczkiem nad otchłanią nienormalności”, oprawiony animacją, nad którą pracowała czwórka ludzi i układem zdjęć dokonany z kolei przez 6 osób, ze świetną muzyką Marzeny Majcher oraz fragmentem wiersza

Ryszarda Krynickiego czytane go przez Wojciecha Pszoniaka, w sumie trwa 7 minut i jest zachwycający i w najwyższej mierze godny polecenia.



Andrzej Dudziński, źródło: Internet

Potem obejrzeliśmy wspomniany film o Dygacie w reżyserii Andrzeja i na końcu ledwo starczyło sił na oficjalne pytania i zaczęły się rozmowy w grupach. Wśród publiczności

zdecydowanie przeważali ludzie w wieku dostojnym, a młodych nie można było niemal uświadczyc, co jest niestety smutnym znakiem czasu i żadne wytłumaczenia, ani względy, nie są tu na miejscu.

Być może wszystko z powodu zejścia się sopockich znajomych z czasów szkoły i studiów Andrzeja, wśród których rozpoznałem bez trudu ze dwie osoby, a z trudem kolejne cztery. W końcowym rozgardiaszu zdołałem ledwie zamienić parę słów z Magdą i Andrzejem i zrobić im zdjęcie.



Fot. K. Kasprzyk

Będąc już w Toronto znalazłem informację o kolejnej wystawie Dudiego, m.in. w Warszawie i Tarnowie, zatytułowanej „Bestiariusz podwodny”. Kie licho, pomyślałem... Cóż on znowu wymyślił? Szperając w Internecie znalazłem jego wypowiedź o idei wystawy zawierającej nowy cykl prac opartych ponownie na stworzeniach Bożych, o których ich autor tak powiedział:

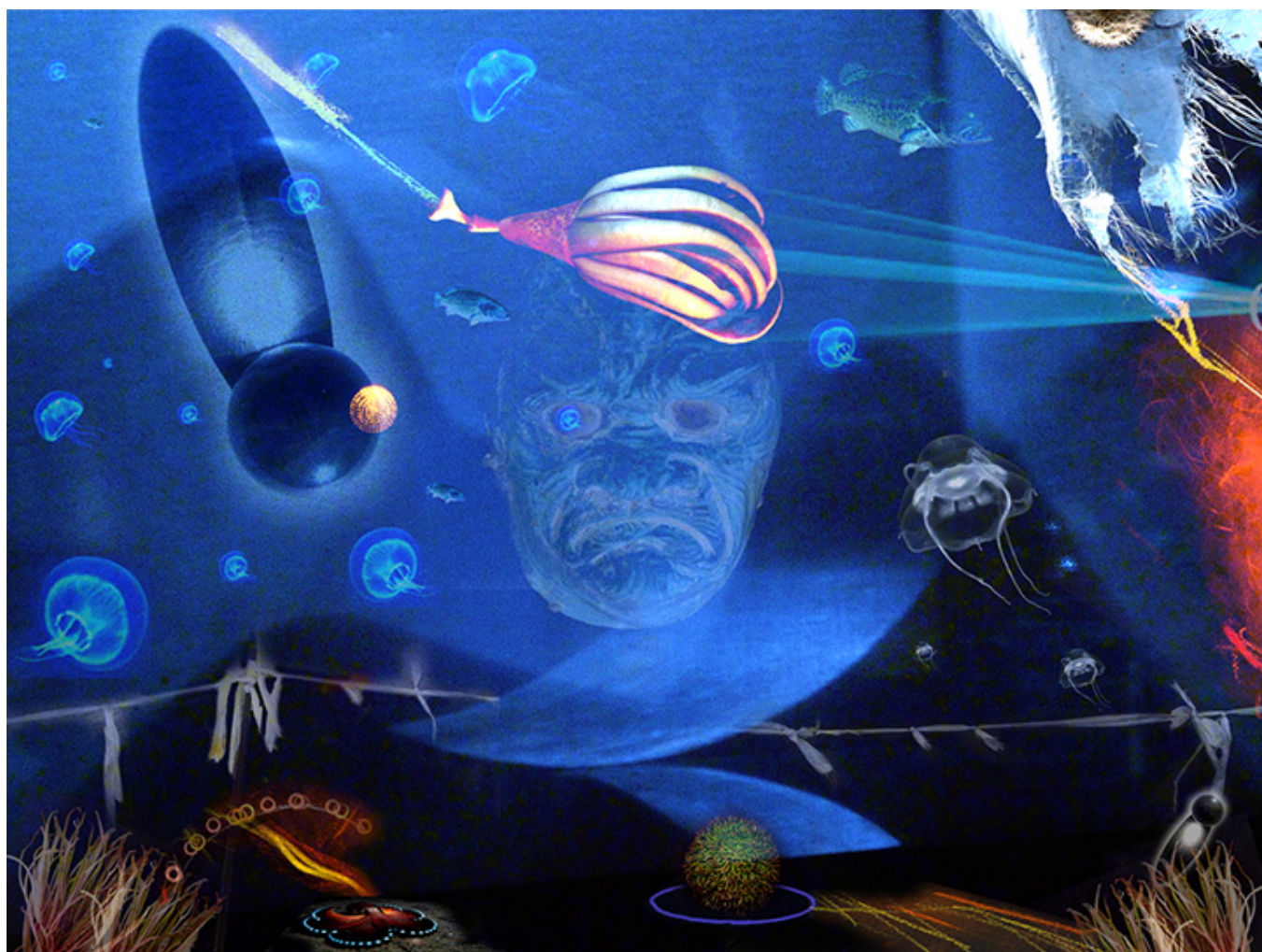
Podobno Bóg, podczas procesu tworzenia, miał obsesję recyklingu. Po uporaniu się z głównymi aktorami świata przyrody, z walających się resztek; łusek, piór i kawałków

futerka, a także z troski, żeby się nic nie zmarnowało, posklecał różne mniej lub bardziej ekscentryczne stworki. Choć daleki jestem od nasuwającego się porównania to muszę przyznać, że sama metoda bardzo mnie zainspirowała.

I kontynuował:

Żeby uciec od ponurej rzeczywistości postanowiłem zejść pod powierzchnię, licząc na to, że w otchłani wodnej znajdę rzeczy, które nie tylko odwrócą moją uwagę, ale być może zawładną moją wyobraźnią. Jak na kogoś kto do tej pory zajmował się głównie ptactwem (i Pokractwem) oraz różną zwierzyną imaginacyjną, wyobraźnię ichtiologiczną miałem dość słabo rozwiniętą.

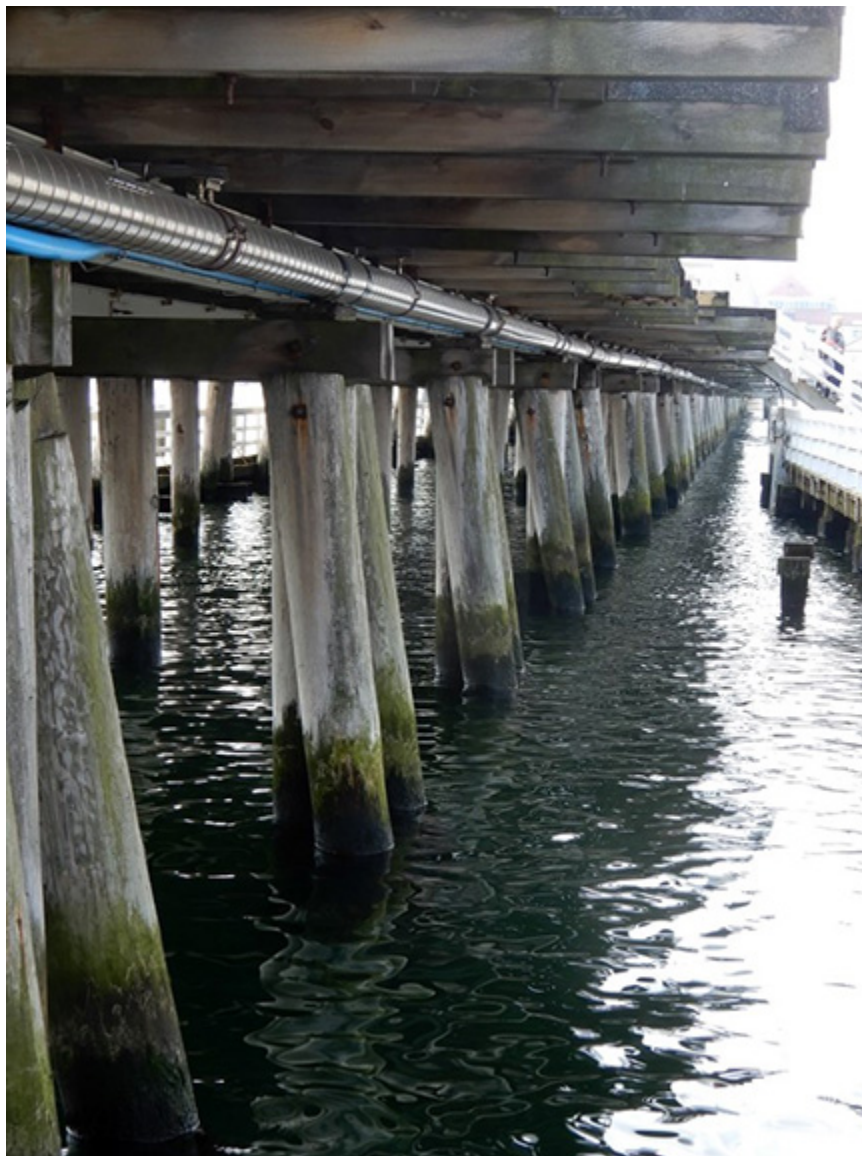
Szybko okazało się, że nie mogłem być przygotowany na to co mnie w otchłani wody może spotkać. Najpierw oczywiście rozpoznawałem te rzeczy, które znałem lub kiedyś widziałem. Potem pojawiały się stwory coraz mniej znane, nigdy przedtem nie widziane, wreszcie te, w których istnienie dotąd nie mogę uwierzyć. Takie kreacje natury poznikały z powierzchni ziemi dawno temu, a w podwodnych przestworzach nadal świetnie się mają. Zaprezentowane tutaj prace są katalogiem tego, co tam ujrzałem, jak również tego, co mi się zdaje, że zobaczyłem.



Andrzej Dudziński, źródło: Internet

Podejrzewam, że to też inspiracja Sopotem, powzięta z tych lat, gdy człowiek nurkował pod mołem obserwując z podziwem, zmieszanym czasem z pierwotnym lękiem przed żywiołem wody, owe niesamowite odcienie zieloności w przeróżnych odmianach, znaczone refleksami słońca, podwodną armią szarych i oplecionych zielonoomszałymi glonami pali, wbitych w dno zatoki, a pomiędzy nimi czasem błysnął srebrzystoniebieski węgorz lub smagła opalenizna syreny, przyjezdnej na wakacje z głębi kraju. Plaża i molo, obok wysokopiennego lasu bukowo-sosnowego, to jeden z labiryntów tajemniczego, sopockiego

dzieciństwa.



Fot. K. Kasprzyk

Jeśli zastanowię się, jak Dudziński obecnie podchodzi do swego tworzenia, do tej pasji łączenia elementów, sądzę, że podchodzi do wszystkiego z większym spokojem. I jak większość wybitnych artystów z różnych dziedzin, doszedł do punktu sprawiającego wielką frajdę tworzącemu – do prostoty, do skrótowego

utrafiania we właściwy punkt, w coś co tak pięknie nazwał Bohumil Hrabal – w potrzebę bycia mistrzem świata. Stąd coraz większa oszczędność w kolorystyce, na rzecz surowej, jednolitej płaszczyzny w jednym kolorze, i co charakterystyczne, wytłumionym. Wystarczy porównać współczesne prace z tymi z lat dawnych, czynione kredkami, rozbuchane w ilustracjach, plakatach, które wręcz oszołamiały swoją fantazją szczegółów, rozległością technik, zestawieniem niemal zjadających się wzajemnie kolorów.

Przy spokoju zachował jednakże coś co zawsze w nim zauważałem – temperament. On jest i dalej go wewnętrznie nakręca, włącznie z sposobem prowadzenia rozmowy, zarówno o jego twórczości, jak i o sztuce i życiu w ogóle, o czym mogłem się przekonać podczas wrześniowego spotkania.



Andrzej Dudziński (z prawej) w rozmowie z dyrektorem Towarzystwa Przyjaciół Sopotu, panem Krzysztofem Kuczkowskim, fot. K. Kasprzyk

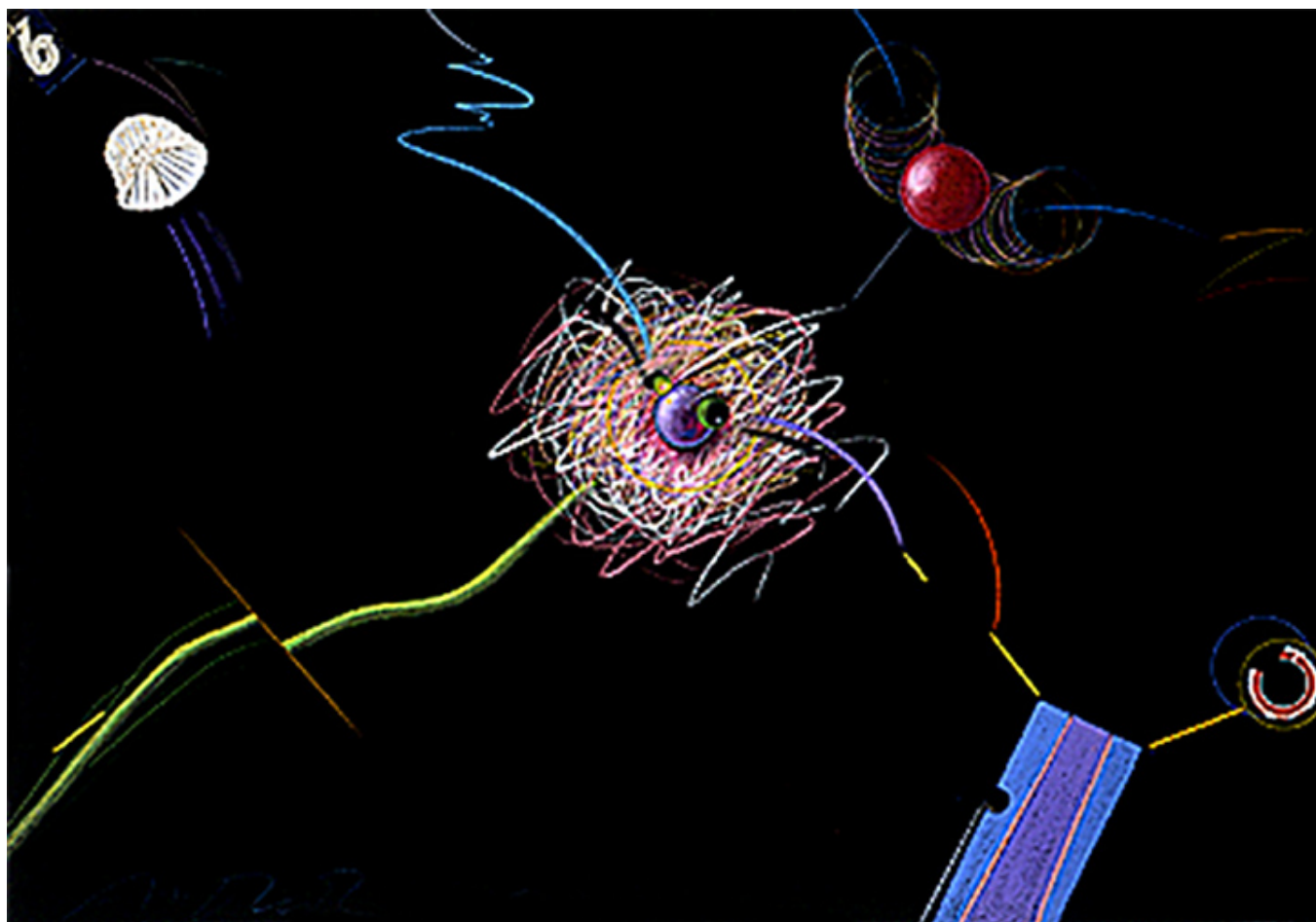
Posiada także w dalszym ciągu TO co wynosi się z Sopotu, z jego otoczenia i atmosfery – wibrującą intuicję, której nie zdoła stłumić czy zasypać ani Warszawa, ani Londyn czy Nowy Jork. Z intuicją wiąże się również wrodzony instynkt odczucia co mi jest potrzebne, co mogę z siebie wydobyć w najczystszej postaci. Stąd eksperymenty z rysowaniem czy malowaniem lewą ręką lub z zamkniętymi oczami. I nie są to artystyczne kaprysy czy formalne gierki. To są wciąż poszukiwania, sięganie do różnych źródeł, fascynujących i intrygujących w samym sobie.

Nie da rady go zaszufładkować i to jest jego wielkie osiągnięcie. Wymyka się określeniom, które tak często lubi stosować człowiek

współczesny, nie tylko z racji wzrastających ograniczeń intelektualnych i ograniczonego wyczucia, ale także z powodu traktowania kogoś utalentowanego i znanego (o tak, to przede wszystkim – węszenie za celebrytą!), jak pięknego motyla, przyszpilonego w zamkniętej gablocie.

Część

1: <https://www.cultureave.com/pastelowa-wstega-mobiusa-na-czarnym-tle-czesc-1/>



Andrzej Dudziński, źródło: Internet

Andrzej Dudziński - rocznik 1945. Laureat prestiżowych nagród krajowych i zagranicznych, m.in. Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek, Nagroda Neptuna przyznawana przez Prezydenta Gdańska, Nagroda ZAiKSu (w 2018 otrzymał Nagrodę 100-lecia Stowarzyszenia Autorów ZAiKS, które w rok później nadało mu tytuł Honorowego Członka); nagrody The Arts Directors Club of New York, Society of Illustrators i Society of Newspaper Design, London Advertising Award, The American Institute of Graphic Arts.

Jest laureatem Krzyża Oficerskiego Orderu Odrodzenia Polski (nadany w 2012).

Wystawy indywidualne, m.in. w Warszawie, Łodzi, Gdańsku, Krakowie, Szczecinie, Legnicy, Sopocie, Nowym Jorku, Waszyngtonie, Londynie, Tokio, Hamburgu, Genewie, Pradze, Paryżu, Brukseli, Berlinie, Lipsku i Düsseldorfie.

W grudniu 2019 w Sopockiej Państwowej Galerii Sztuki otwarcie wielkiej wystawy indywidualnej Dudiego, podsumowującej 50-lecie pracy artystycznej. Zapraszam i gorąco polecam.

Strona internetowa: [http://www. Andrzejdudzinski.com](http://www.Andrzejdudzinski.com)

W opracowaniu powyższego tekstu korzystałem ze źródeł w Internecie (wywiady, zdjęcia), z książki monograficznej “Andrzej Dudziński” oraz z własnych fotografii.

Spotkania w powojennym Londynie

Rok 2020 - rokiem Leopolda Tyrmanda



Leopold Tyrmand, fot. Muzeum Jazzu

Florian Śmieja (*Mississauga, Kanada*)

Zaraz po wojnie nie łatwo było odwiedzać Anglię. Do pierwszych gości w Londynie należał Leopold Tyrmand. Pamiętam jak go przyjmowaliśmy, jako autora głośnego już "Złego". a on popisywał się kolorowymi skarpetkami i buńczucznym oświadczeniem, że ks. kardynał Wyszyński i on byli prawdziwymi przywódcami młodzieży polskiej. Przyjechał też Jerzy Zawieyski, którego pamiętam za strofowanie nas, że krytykujemy społeczeństwo polskie, które przecież żyło w innych warunkach. Zdumiało mnie jego prawie konspiracyjne pytania, czy w Londynie może on po prostu wejść do sklepu i kupić ubranie bez

talonu i jakiegoś zezwolenia.

W Londynie często spotykaliśmy się w restauracji i kawiarni Dakowskiego blisko kolejki podziemnej South Kensington, bo była blisko polskich instytucji takich jak Ognisko Polskie, Instytut gen. W. Sikorskiego czy Brampton Oratory. Wspominam picie kawy po wykładach na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie z Józefem Bujnowskim, Wandą Chruściel, Krystyną Cywińską, Marią Nowakowską, Wojciechem Gniatczyńskim, Ferdynandem Goetlem. Zygmuntem Ławrynowiczem czy Napoleonem Sądkiem, żeby wymienić kilka nazwisk. Goetel relacjonował rozmowę na granicy, kiedy wyjechał z Polski. Nie pamiętam, czy chodziło o wizę holenderską czy paszport. Dość, że celnik na granicy oddał mu paszport ze słowami: "No, to leć pan, latający Holendrze".

Ze Stefanem Kisielewskim mówiłem o muzyce. Byłem ciekaw, kogo widział na polskim firmamencie jako najjaśniejszą gwiazdę wśród młodych kompozytorów. Wymienił Henryka Mikołaja Góreckiego. Wtedy było to dla mnie nowe nazwisko, ale niedługo później jego trzecia symfonia pieśni żałosnych podbiła świat. Kiedy na początku któregoś grudnia znajdowałem się w kalifornijskim Palm Springs, lokalne amerykańskie radio nadało Góreckiemu życzenia urodzinowe i emitowało jego sławną symfonię, w której Amerykanka Dawn Upshaw piękną gwarą śląską czarowała słuchaczy.

Miło mi było, że współczesny Polak cieszył się takim mirem i natychmiast pchnąłem do niego list z dobrą wiadomością.

Ostatnia podróż wieszcza



Pocztówka z wizerunkiem Juliusza Słowackiego, ilustracja do wiersza „Smutno mi Boże”, fot. Biblioteka Narodowa

Włodzimierz Wójcik (*Sosnowiec*)

Pamiętam doskonale odczyt Kazimierza Wyki – mojego mistrza – i jego wielką radość, kiedy stwierdził, że Norwid udając się z Krakowa na Zachód, przejeżdżał przez jego rodzinne Krzeszowice. Ja też szukałem czegoś szczególnego i znalazłem Słowackiego... Wiadomo, że wielki romantyczny poeta był na Śląsku, ale tym Dolnym; we Wrocławiu spotkał się z ukochaną matką – Salomeą. Ale w Sosnowcu, czy w Katowicach? A jednak... Wiadomo, że Słowacki – jeden z polskich wieszczów narodowych – na świat przyszedł w Krzemieńcu 4 września (23 sierpnia wedle starej daty) 1809 roku, jego serce zastygło w stolicy Francji 3 kwietnia w 1849. Poetę pochowano na paryskim cmentarzu Montmartre. Wiadomo też powszechnie, że obdarował nas cudownymi wierszami lirycznymi, towarzyszącymi nam przez życie, poetyckimi powieściami (Jan Bielecki, Ojciec zadżumionych), najwyższej klasy dramatem romantycznym (Kordian, Horsztyński, Balladyna, Lilla Weneda, Mazepa, Fantazy, Sen srebrny Salomei), poematem dygresyjnym (Beniowski) czy historiozoficznym (Genezis z Ducha, Król-Duch), wreszcie pełnymi ciepła listami do matki i przyjaciół, które się czyta z zapartym tchem i szczerym wzruszeniem. Podobnie jak Chopin, zmarł przedwcześnie pośród garstki przyjaciół. W dniu zgonu otrzymał list od ukochanej matki – Salomei. Nie był jednak w stanie wziąć go do ręki, tak był osłabiony. List przeczytał mu jego przyjaciel, Zygmunt Szczęsny Feliński. Po lekturze

umierający powiedział: „Jaki Bóg dobry, że mi przed zgonem daje tu jeszcze wielką pociechę. Pożegnanie i błogosławieństwo matki...”. Na jego skromnym pogrzebie było zaledwie 30 osób. Smutna to prawda. 78 lat później niepodległa już Polska upomniała się o swojego syna postanowieniem sprowadzenia jego prochów do kraju.

Rankiem 14 czerwca 1927 na cmentarzu Montmartre dokonano ekshumacji zwłok Słowackiego z udziałem wybitnego polskiego poety, skamandryty, Jana Lechonia. Znalezione kostne szczątki włożono do małej metalowej trumienki, tę zaś do większej – hebanowej. Po odprawieniu nabożeństwa w polskim kościele Assomption, orszak przeszedł ulicami Paryża do ambasady polskiej, gdzie trumna była wystawiona na widok publiczny. Wieczorem przewieziono ją do Cherbourga. Z francuskiego portu polski statkiem „Wilia” do Gdyni, stąd na torpedowcu „Mazur” do Gdańska. Ostatnią drogę prochy polskiego poety odbyły wiślanym statkiem „Mickiewicz”, który zatrzymywał się w Grudziądzu, Toruniu, Włocławku, Płocku, Wyszogrodzie i Modlinie. 26 czerwca w południe statek przybył do Warszawy. Po odbyciu uroczystości pogrzebowych w Katedrze Świętego Jana, z udziałem prezydenta Ignacego Mościckiego, przez całą noc mieszkańcy stolicy oddawali hołd twórcy Króla-Ducha. Nazajutrz z Dworca Głównego trumnę przewieziono do Krakowa. Pociąg zatrzymywał się w Skierniewicach, Koluszkach, Piotrkowie, Radomsku, Częstochowie, Zawierciu, także u nas w Sosnowcu i

w Katowicach. Tysiące naszych rodaków oddawały hołd poecie-wieszczowi. Od godzin wieczornych 27 czerwca w krakowskim Barbakanie mieszkańcy podwawelskiego grodu pochylali głowy przed trumną poety. Rankiem następnego dnia kondukt przemaszerował koło kościoła Świętej Anny, aby oddać hołd matce Słowackiego, która tutaj przed laty ufundowała tablicę pamiątkową dla syna. Na Wawelu prochy Słowackiego powitał Józef Piłsudski, który swoje piękne wystąpienie zakończył znamiennymi słowami skierowanymi do grupy oficerów:

W imieniu Rządu Rzeczypospolitej polecam dziś Panom odnieść trumnę Juliusza Słowackiego do krypty królewskiej, bo królom był równy.

Kostne szczątki Słowackiego pochowane zostały w wawelskiej krypcie obok Mickiewicza. Jego serce wessała ziemia francuska. A jednak poeta przesłał własne serce Matce-Polsce i Matce-Salomej w poetyckim słowie. Mamy na myśli jeden z głośniejszych jego wierszy „Testament mój”. Warto przytoczyć dwie zwrotki z tego tekstu:

Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami,

Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny,

Dziś was rzucam i dalej idę w cień – z duchami –

A jak gdyby tu szczęście było – idę smętny.

[...]

Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą

I biedne serce moje spalą w aloesie,

I tej, która mi dała to serce, oddadzą –

Tak się matkom wypłaca świat, gdy proch odniesie.

Cóż do tych wzruszających słów dodać? Wydaje mi się, że tekst jest dość jasny, zrozumiały dla każdego czującego Polaka... Także i dzisiaj, kiedy żyjemy w nie tak bardzo romantycznych czasach... Wartości wyższego rzędu – imponderabilia – nie umierają, mimo że w niektórych szkołach program nauczania literatury romantycznej jest wyraźnie redukowany...



Sprowadzenie szczątków Juliusza Słowackiego do Polski, uroczyste przywitanie trumny w Gdyni, 1927 r., fot. wikipedia

O tych uroczystościach myślę z prawdziwym wzruszeniem. Wracam myślami do mojego ojca, który o nich opowiadał mi w okrutny czas okupacji. zabierając mnie wielokrotnie z Łagiszy, gdzie mieszkaliśmy, do Sosnowca. Oto bowiem w roku 1927 służył w wojsku polskim w Krakowie i brał udział w uroczystym pochodzie na wzgórze wawelskie. Jego wspomnienia i swojskie gawędy, żywe i barwne, pełniły funkcję swego rodzaju podręcznika historii w czasie, gdy polska książka była tępiona przez Niemców wszelkimi metodami. Tym domowym sposobem odbywało się patriotyczne wychowanie mojego pokolenia, tak kształtowała się legenda romantyczna, dzięki której łatwiej było przetrwać narodowe niedole i zachować poczucie własnej

tożsamości. Nic dziwnego, że po latach, po studiach polonistycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim, wróciłem do postaci Marszałka, prawdziwego Hetmana, dzięki któremu ukochany syn Salomei – powróciwszy pośmiertnie z emigracji – znalazł się pośród królów. Pisząc książkę Legenda Piłsudskiego w polskiej literaturze międzywojennej i szereg innych prac na ten temat, miałem to przeświadczenie, że tyle jesteście warci, ile kochamy naszych zmarłych.

Z rodzinnego albumu. Zamość.

Rozpoczynamy publikację wspomnień Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej, twórczyni historii pojazdów konnych, przez wiele lat związanej z Powozownią Zamkową w Łańcucie. „Z rodzinnego albumu” to losy rodziny pochodzącej z Wołynia, z dramatycznymi dziejami w tle, ale też pasjonująca praca, podróże, spotkania z ciekawymi ludźmi. Autorka dzięki wielkiej wrażliwości i talentowi

literackiemu wspaniale nakreśliła życie Polaków, dla których, mimo trudnej historii, polska tożsamość i dziedzictwo kulturowe stanowiły największą wartość.

Kolejne części będą się ukazywać w trzeci piątek miesiąca.

Joanna Sokołowska-Gwizdka, red. magazynu „Culture Avenue”.



Dom drewniany w Zamościu, w latach 1927-1975 własność Józefa Fabijańskiego, rys. Wrzesław Żurawski

Teresa Fabijańska-Żurawska (*Łańcut*)

Moje życie związane jest z kilkoma miejscowościami. Wszystkie

są historycznie ważne, kulturowo bardzo ciekawe, artystycznie piękne i słynne.

Urodziłam się w Zamościu – późnorenesansowym mieście-twierdzy założonym w 1580 r. Przez hetmana Jana Zamoyskiego, kanclerza wielkiego koronnego. Miasto to zaprojektował w całości architekt – urbanista włoskiego pochodzenia, Bernardo Morando. Zamość posiada ok. 120 zabytków architektury, do których należą m.in. najwspanialsza kolegiata (obecnie katedra), ratusz wraz z zespołem podcieniowych kamienic wokół rynku, zamek, a może raczej pałac Zamoyskich, przed którym postawiono pomnik założyciela, Jana Zamoyskiego na koniu, wykonany w konwencji znanych arcydzieł renesansowej rzeźby włoskiej. Pięknie się tam prezentuje i przypomina początki naszej Padwy Północy, jak zwykle się określać tę perłę miast. Zabytkiem jest gmach Akademii Zamojskiej (1594), do której uczęszczałam przez sześć lat szkoły średniej, kościół oo. Franciszkanów (przed wojną i po wojnie było tam kino i sala widowiskowa, gdzie graliśmy przedstawienia i słuchaliśmy koncertów znakomitych artystów polskich). Imponujący swą stylową formą architektury militarnej zespół fortyfikacji związany jest ze znanymi nazwiskami inżynierów i generałów włoskich i austriackich. Zachowana jest pamiątkowa cela, w której rząd carski więził Waleriana Łukasińskiego w latach 1824-26 za działalność patriotyczną. Jedną z pierwszych budowli wzniesionych przez B. Moranda był arsenał, usytuowany obok pałacu, mieszczący

dzisiaj ciekawe zbiory muzealne z zakresu militariów. Istnieją cztery bramy wjazdowe w fortyfikacjach miasta z tym, że pierwsza brama Lubelska została zamurowana na pamiątkę przejazdu arcyksięcia Maksymiliana austriackiego po wzięciu go do niewoli w 1588 r. w przegranej bitwie pod Byczyną. Zwycięskie wojska hetmana konwojowały dostojnego więźnia w małej karetkie, ale przez tę bramę nikt już więcej nie przejechał. Wybudowano drugą, obecnie zrekonstruowaną. Miasto Zamość zostało wpisane w 1980 r. na listę międzynarodowego dziedzictwa kulturowego i jest Pomnikiem Historii. Jest to także miasto-bohater odznaczone Krzyżem Grunwaldu III klasy.

Na przestrzeni dziejów Zamość wiele wycierpiał. Po pierwszym rozbiórze Polski w 1772 r. zajęli miasto Austriacy. Dokonali wielu zniszczeń jego form artystycznych, traktując renesansowe ozdoby np. attyki, jako zbędne dla koszar wojskowych. Zubożona przez to została ich koronkowa dekoracja, jedyna w skali całego rynku, tak unikatowego miasta, gdzie każda kamienica posiadała na parterze podcienia, reprezentacyjne pierwsze piętro (odpowiednik piano nobile w pałacach) i mezzanin z attyką zasłaniającą pogrążony dach, zupełnie niewidoczny. Było to cudownie pomyślane, bowiem dekoracja architektoniczna i sztukatorska, na każdej kamienicy inna, podkreślona tu została kolorem mocnym, ale harmonizującym z całością. Chciałoby się powiedzieć – kolorowe, koronkowe miasto. Niestety, nie przywrócono tego w czasie rewaloryzacji trwającej długie lata

70. i 80., a mającej na celu m.in. „wydobycie zatartych walorów artystycznych”.

Zamość, chociaż uczestniczył we wszystkich wojnach, jakie na tych terenach się toczyły, nigdy nie był zniszczony działaniami wojsk. Twierdza zdała egzamin. Najboleśniejsza ostatnia wojna światowa lat 1939-1944 (dla tych terenów) pozostawiła Pomnik Martyrologii w rotundzie odległej od murów miasta ok. 1 km. Jest tam dzisiaj Mauzoleum Martyrologii Zamojszczyzny. Była to niegdyś działobitnia wzniesiona w latach 1825-31 przez rząd carskiej Rosji (od 1815 zabór rosyjski) z czerwonej cegły w kształcie obwarzanka z celami wewnątrz i dziedzińcem z bramą wjazdową. Na tym dziedzińcu palono zwłoki więźniów trzymanych w okropnych warunkach i ścisku. Rozstrzeliwani byli na miejscu. Do dzisiaj brama nosi ślady odłamków kul, a wyrwa w murze po lewej stronie za bramą, za drutem kolczastym – to miejsce straceń. Gineła tu przede wszystkim inteligencja, działacze ruchu oporu i ludzie o zdolnościach przywódczych. Gineły tu również dzieci przywożone z terenów pacyfikowanych przez hitlerowców. Ostatni ordynat zamojski, senator Jan Zamoyski, wraz ze swoją żoną uratowali 300 dzieci, organizując im opiekę, wyżywienie, mieszkanie i naukę w Zwierzyńcu, gdzie mieszkali w latach okupacji. Te miały szczęście, po wojnie niektóre odnalazły rodziców.

W latach po okupacji hitlerowskiej Zamość leczył rany

psychiczne i rozwijał się edukacyjnie i kulturowo. Było dużo szkół, także średnich, teatr amatorski, oczywiście przedstawienia szkolne, rewie, pokazy sportowe, ogniska harcerskie z artystyczną oprawą. Znakomicie dobierało repertuar kino „Stylowy”, do którego chodziło się na najgłośniejsze filmy zarówno zagraniczne, jak i polskie przed i powojenne.

Od 1975 r. podniesiono status miasta na wojewódzkie. Miało to pozytywny wpływ na rozwój urbanistyczny. Powstały nowe osiedla mieszkaniowe. W Akademii Zamoscensis znów otworzono uniwersytet. W hierarchii kościelnej kolegiata stała się katedrą, a w miejsce kolegium powstała kuria biskupia.



Babcia i córki – Czernichów, Ukraina, ok., 1910. Maria z de Schmieden-Kowalskich Piątkowska (ciocia Niusia) – z prawej, Emilia de Schmieden-Kowalska (ciocia Milusia) – z lewej, Maria Joanna z Moszynskich Anzelmowa de Schmieden-Kowalska (babcia) – w środku.

W 1932 roku, w Zamościu, pewnego jesiennego dnia, 30-go września, gdy słońce było w znaku wagi, wydarzyło się coś chyba ważnego w rodzinie Józefa Wita Fabijańskiego i Eleonory z De Schmieden-Kowalskich, w ich własnym domu przy ulicy wówczas Lwowskiej, obecnie Partyzantów. Później komputer mi powiedział, że był to piątek – oznacza to pracowite i postne życie, do tego kryzysowe. Ci, którzy rodzą się pod znakiem „wagi” mają trudne życie, dźwigają swój ciężar, rozważając wszelkie za i przeciw. Ela, moja starsza siostra mówiła mi, że urodziłam się w

czasie, gdy cała trójka rodzeństwa poszła na spacer, a gdy wrócili, byłam już ja – czwarte dziecko, najmłodsze i ostatnie.

Rodzice pobrali się w 1923 r. w Łucku, gdzie znajomy dziadków, ksiądz biskup Dybowski udzielił ślubu w tamtejszej katedrze, obecnie znów oddanej katolikom. Zamieszkali w Zamościu początkowo w wynajętym domu, podobnym do naszego, który już nie istnieje. Tam urodziło się dwoje z mojego rodzeństwa: Ela (1924) i Witek (1926). Później przenieśli się do swojego domu i tu przyszedł na świat Julek (1928) i ja (1932). Potem jeszcze Baśka, córka Witka (1954), a na koniec Wrzesław, mój syn (1957).

Pamiętam rozkład pokoi wtedy, gdy jako trzyletnie dziecko biegałam po domu ślizgając się na zawsze wyfroterowanych podłogach o długich deskach z sękami i dużymi gwoździami. Podłogi te były piękne, lśniące i wymagały ogromnej pracy.

Czas moich narodzin był fatalny. Światowy kryzys spowodował bezrobocie. Dotknęło ono i mojego ojca, który ze stanowiska dyrektora prywatnej fabryki pana Kowerskiego, po jego śmierci i likwidacji zakładu, stracił pracę na kilkanaście miesięcy. Próby założenia własnej fabryki owoców i warzyw suszonych we Włodzimierzu Wołyńskim, skończyły się na plajcie, a wszystkie urządzenia, maszyny, suszarki, krajalnice itp. przyjechały do Zamościa i na strychu domu były przez wiele lat, nawet coś

jeszcze zostało po wojnie. A więc nie zostałam córką fabrykanta. Natomiast brak pracy spowodował zwolnienie domowej służby i mój ojciec z konieczności więcej zajmował się mną, niż starszym rodzeństwem. Z ojcem zasypiałam, z ojcem wstawałam w nocy. To dobrze pamiętam. Może dlatego tak bardzo kochałam tego mojego tatusia.



Tata: Józef Wit Fabijański, w mundurze POW-iaka marszałka J. Piłsudskiego,

Sypialnia rodziców znajdowała się wtedy w pokoju od północy, oddzielonym od reszty domu przedpokojem. W pokoju jadalnym, centralnie położonym, było mnóstwo białych, filunkowych drzwi. Wchodziło się przez ganek i przedpokój na lewo do dużego pokoju, który długo był naszym dziecinny, na prawo do małego pokoju-saloniku i do kuchni. Naturalnie, szerokie przeszklone drzwi z bocznymi, wąskimi oknami wychodziły na werandę i oświeślały ten przyciemnawy zwykle pokój malowany olejno w modne wówczas boazerie, niby deski na zmianę ciemne i jasne aż do sufitu. Pokój ten był najmiłszy wieczorem, gdy gromadziliśmy się wokół dębowego stołu. Życie rodzinne miało wtedy swój niezrównany charakter ciepła i bliskości. W świetle secesyjnej lampy, której jeszcze szczątki istnieją, siadaliśmy do kolacji, a później każdy coś czytał, szył, czy rysował. Nie było przecież telewizji, więc wieczory były organizowane inaczej. Po wojnie ojciec głośno nam czytał historyczne książki. Latem, szeroko otwarte drzwi stwarzały szczególny urok tego wnętrza, zwłaszcza w porze obiadowej w słoneczne dni. Nigdy tu nie było upału, a zimą długie promienie kładły się w głąb sięgając stołu. Urocze było to nasze miejsce, takie przytulne i tak łatwe w kontakcie z ogrodem, gdzie jaśmin można było rwać z okna, a duże donice z drzewkami pachnących oleandrów, różowych i fioletowawych, zdobiły dookoła werandę, późnym latem pachniały floksy w różnych odcieniach barw.

Niestety, po wojnie brak pieniędzy, zniszczenia i niedbałość

lokatorów podczas lat naszej emigracji oraz totalna niemożność systemu administracyjnego, spowodowały, że dom starzejąc się robił się coraz zimniejszy i mimo gorących pieców temperatura w wietrzne zwłaszcza dni była za niska. Biedni rodzice z ciocią Izią, siostrą mamy, która wróciła właśnie z Kazachstanu jako gomułkowska repatriantka, marzli przez wiele lat i męczyli się w prymitywnych warunkach, jakie wtedy były przecież w Polsce wschodniej powszechne. Ale przywiązanie do tego domu i nasze przyjazdy trzymały ich psychicznie i fizycznie, praktycznie do końca życia.

We wczesnym dzieciństwie zamojskim miałam trzy groźne przygody. Każda z nich mogła zakończyć się tragicznie. Najpierw, jako niemowlę zostałam nakarmiona przez nianię zielonymi porzeczkami. Ledwie mama odchuchała. Później, gdy już chodziłam, weszłam za służącą po bardzo stromych schodach na strych. W połowie drogi straciłam równowagę i spadałam. Szczęściem Jaś Piątkowski, brat cioteczny, właśnie wchodził i złapał mnie w powietrzu za sukienkę. Trzecia przygoda, którą także znam tylko z opowiadania, zdarzyła się na wiosnę. Mogłam mieć wtedy niespełna trzy latka. Starsze dzieci bawiły się w ogrodzie zajęte sobą, a ja dreptałam po grządkach i nagle wpadłam do płynnego śmietnika. Brat zauważył, że mnie nagle nie ma, narobił wrzasku i zostałam wyciągnięta za futerkowy płaszczyk tyczką do zrywania gruszek. Widocznie nie taki koniec mi w niebie przeznaczono.



Mama – Eleonora z de Schmieden-Kowalskich, Józefowa Fabijańska

Z uroczystości rodzinnych pamiętam większy rodzinny zjazd i zaprzyjaźnionych gości kiedy to nas, dzieci było dużo więcej i z tej okazji skorzystała moja siostra urządzając chrzciny lalki – Magdy, ślicznej, porcelanowej, zamykającej oczy z długimi rzęsami. Deska od stołu posłużyła za ołtarz. Lila, siostra cioteczna była księdzem w nocnej koszuli, bracia Witek i Julek służyli do mszy, a po tym wszystkim zaproszono nas do stołu na smakołyki. Pamiętam nasze zabawy w ogrodzie na wiosnę. Gry w

„kiczkę” i w palanta, a przede wszystkim w chowanki, gdyż ogród przed domem był nie tyle duży, co gęsto zarośnięty. Pod płotem maliny, przez środek alejka z krzakami porzeczek i agrestów. Drzewa jabłoni, grusze ozdobne krzewy bżów po bokach ganku, sercowaty klomb na osi z bajecznie kolorową mieszaniną o każdej porze innych gatunkowo kwiatów. Na obrzeżach, pod płotami sąsiadów rosły złocienie i floksy stwarzając możliwości kryjówek nie do odkrycia. Podwórze, przez które trzeba było przechodzić do nas, to były ogródki przed i dookoła każdego domu, a było ich pięć z naszym. W tym podwórzu rosła kochia – roślina-samosiejka, której nikt nie pielęgnował, ale rosła bujna, wysoka i rozłożysta, czasem smukła na kształt włoskich cyprysów. W niej najlepsze były chowanki, ale to było możliwe dopiero późnym latem. Lubiłam bardzo bawić się lalkami na schodach ganku, zwłaszcza w upalne dni. Ulubione zabawy w dom z gotowaniem na niby, z szyciem ubranek dla lalek i pożytecznym robieniem na drutach. Byłam w tym wszystkim zwyczajną, przeciętną dziewczynką, ale jedno różniło mnie od moich towarzyszek zabaw dzieciennych. Uwielbiałam wszystko, co piękne: ładne mieszkania, przedmioty artystyczne, stare antyki, musiał być ład i porządek, mieszkanka lalek posprzątane i ozdobione kwiatami, serwetkami, tkaninami, dywanikami. Przytulność, ciepło tkanin były mi zawsze potrzebne. Kiedy mieszkanie lalek, które znajdowało się pod biurkiem mamy, było wysprzątane oddawałam się cała doznaniom estetycznym i każdą zauważoną niedoskonałość, czy

szpetotę starałam się zasłonić: obrazem, meblem, tkaniną, lub kwiatem, aby nie raziła oczu, aby nie budziła poczucia wstydu, czy zażenowania.

Zamość z dzieciństwa i lat trzydziestych, pozostał w mej pamięci uroczysty, świąteczny, wyjątkowy. Pamiętam dobrze nastrój przedświąteczny w naszym domu i ogromną choinkę do sufitu, stojącą na dywanie francuskim w naszym, dzieciennym pokoju. Paliły się na niej lampki Philipsa kolorowe, podobne w kształcie do dużych śliwek. Bombki, łańcuchy z kolorowego, glansowanego papieru, paciorkowe kapliczki, koszyczki z wydmuszek i dzbanuszek czy ptaki, a wreszcie soplowate cukierki w błyszczących papierkach, pierniczki, szyszki, orzechy i czekoladowe cudenka w cymfoliach – sprawiały, że choinka była bogata i przyciągająca największe łakomczuchy. Może w tym roku, ostatnim przed wyjazdem do Hrubieszowa, dostałam na gwiazdkę ukochanego Bila – psa-zabawkę z niebesko-żółtej flaneli z noskiem czarnym i pyszczkiem w pepitę. Został zapomniany na piecu, ku mojej rozpaczy.

Inspiracją i pobudzeniem wyobraźni dziecięcej byli kolędnicy, chłopcy z sąsiedztwa zarówno ci, co śpiewali: „po kolędzie, głośno wszędzie, niech pan Fabijański zdrow i wesół będzie ...”, jak i też ci, którzy przychodzili do kuchni z jasełkami posługując się kukiełkami własnej roboty i tekstami anonimowych autorów ludowych. Najbardziej podobała mi się kolorowa, duża gwiazda,

którą obracał chłopak ubrany w kozuch do góry włosiem, gwiazda wtedy rzucała coraz to inny migotliwy blask od zapalonej w środku świeczki. Była dla mnie czymś niezwykłym, przepięknym, magicznym. Wśród jasełkowych postaci obowiązkowo musiał być diabeł, król Herod i Żyd w świetnych, karykaturalnych przebraniach. Kolędnicy po występie dostawali ciasto, łakocie i pieniądze. Pamiętali to do następnego roku.



Na Wielkanoc punktem kulminacyjnym przygotowań było pieczenie drożdżowego ciasta w prawdziwym, babowym piecu, który przetrwał do końca bytu moich rodziców, mimo, że zajmował 1/4 kuchni. (Baby Wielkanocne piekło się w ogromnych, kamiennych formach karbowanych, okropnie ciężkich). Do pomocy w tym okresie przychodziła sympatyczna kobieta zwana Antoniową. Przynosiła z sobą lampę naftową, którą zapalała wieczorem w sieni dla „pokutujących duszyczek”, jak mawiała. Wyobrażnia dziecięca intensywnie wtedy pracowała, chcąc koniecznie ujrzeć taką duszyczkę.

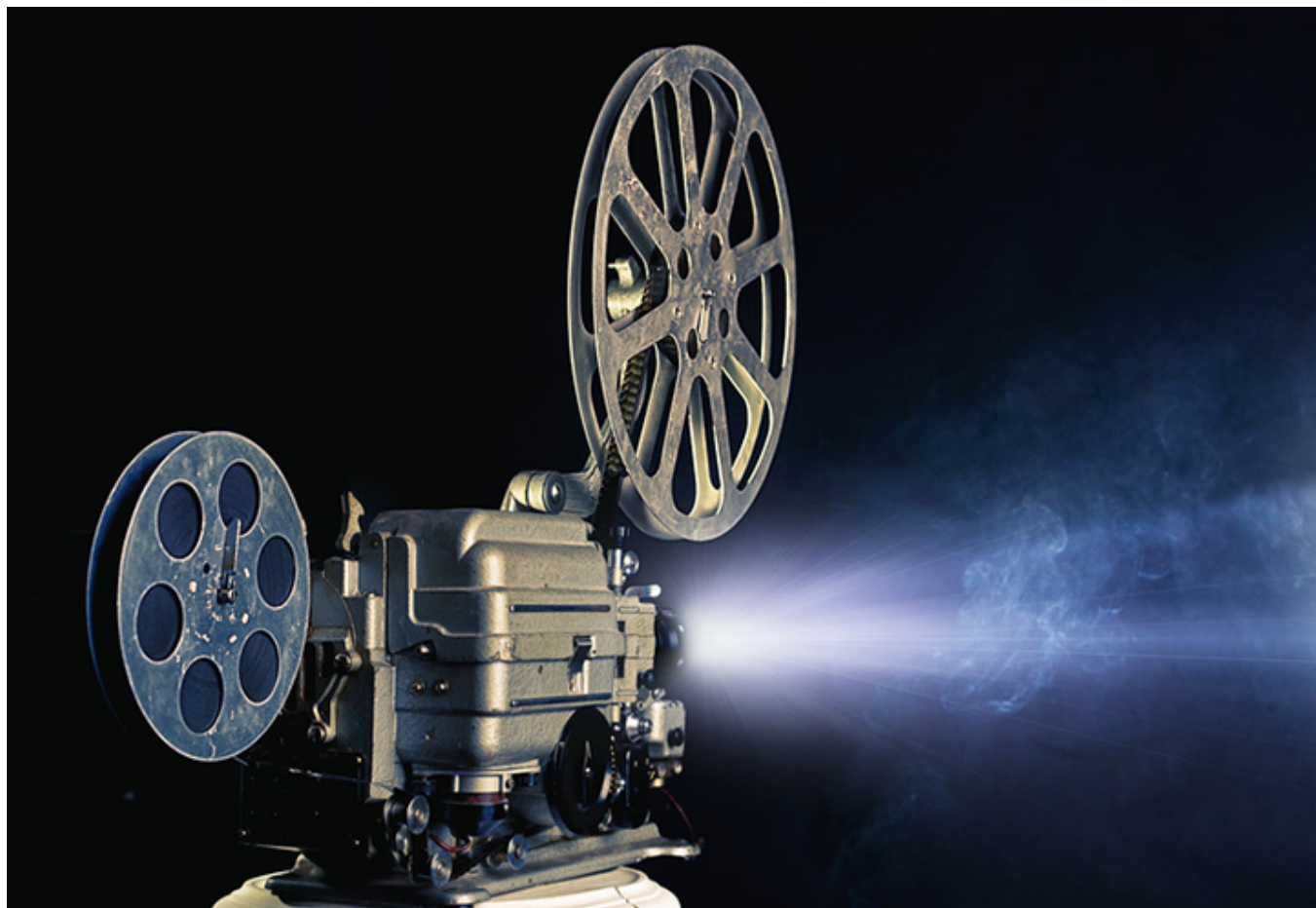
Zamość przedwojenny pozostał w pamięci, jak kilka barwnych plam na obrazie impresjonistycznym. Nałożyły się na nie ciemniejsze kolory okresu stalinowskiego, biedy i przygnębienia, represji i podłości. Ale nie chcę Zamościa wspominać z tego smutnego okresu, przynajmniej nie teraz.

TERESA-ZOFIA FABIJAŃSKA-ŻURAWSKA ur. 30 września 1932 r. w Zamościu, w Polsce, emerytowany starszy kustosz Muzeum-Zamku w Łańcucie, jest historykiem sztuki ze specjalnością w dziedzinie pojazdów konnych. W 1956 r. ukończyła studia Historii Sztuki na Wydziale Humanistycznym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (KUL) otrzymując tytuł

magistra. Doktoryzowała się w Warszawie w Instytucie Sztuki Polskiej Akademii Nauk, uzyskując tytuł doktora nauk humanistycznych w 1982 r. W latach 1963-1994 pracowała w Muzeum-Zamku w Łańcucie kierując Działem Pojazdów Konnych. W latach 1984-1987 wykładała na Katolickim Uniwersytecie w Lublinie. Były to wykłady monograficzne z zakresu historii pojazdu zaprzęgowego, jego miejsca w kulturze, sztuce i obyczajach. Słuchaczami byli studenci Historii Sztuki – III-V roku studiów. Podczas wielu lat pracy w Muzeum organizowała wystawy na terenie Polski i w samym Łańcucie, prowadziła działalność popularyzatorską i dydaktyczną. Napisała i opublikowała 36 książek i ponad 100 artykułów związanych z dziedziną pojazdów konnych. Od 1965-1993 roku brała czynny udział w konferencjach Międzynarodowego Stowarzyszenia Muzeów Transportu (IATM) przy ICOM (International Council of Museums), reprezentując Polskę i Łańcut, wygłaszając referaty o polskich zbiorach muzealnych, problemach konserwatorskich dotyczących różnych eksponatów np. kolaski polskiej z XVIII w., na temat rekonstrukcji karet Jana III Sobieskiego i pracach dydaktycznych w muzeach. Wszystkie wygłoszone referaty zostały opublikowane w roczniku Stowarzyszenia IATM pt. „The Transport Museums”. Miejsca gdzie odbyły się te konferencje to: Budapeszt, Frankfurt/M, Paryż, Praga, Waszyngton. Dla pogłębienia wiedzy wyjeżdżała na stypendia do Francji, Portugalii, Włoch oraz do Belgii, Holandii, Anglii, Niemiec, Austrii, Szwajcarii, Danii, Szwecji, USA, Rosji, do Czech i na

Węgry, służbowo lub prywatnie, zapoznając się tam z muzeami państwowymi i kolekcjami prywatnymi dotyczącymi pojazdów konnych, obyczajów i etykiety dworskiej i dyplomatycznej. W Paryżu, pod patronatem Sorbony, odbywała badania i poszukiwania archiwalne, poznawała kolekcje i biblioteki, m.in. słynne zbiory „Hermesa” przy Faubourg St. Honore i Compiègne poza Paryżem.

Objazdowe kino



Romuald Mieczkowski (*Wilno*)

Z początku pojawiał się on, najczęściej na motocyklu, w podniszczonej czarnej skórzanej kurtce i przekrzywionym na bok berecie, sypiący dowcipami i uśmiechnięty, obiekt zazdrości chłopców i westchnień dziewczyn.

Niektórym z nas podawał rękę, co było szczególnym wyróżnieniem, potem najbardziej zaufanym wręczał cienkie rolki papieru. Były to afisze, na których chemicznym ołówkiem, zamasyście i z wykrętasami wypisano nazwę filmu. Wyruszaaliśmy rowerami z nimi w różne strony i już wkrótce

afisze widniały na przystanku autobusowym, przy sklepie, a także na studniach, słupach i płotach.

Po południu z miasta nadjeżdżał samochód, który pod pustą stodołę przywoził sprzęt i metalowe pudełka z filmem. Kinomechanika osaczali stali bywalcy, mężczyźni, którzy częstowali go papierosami i wódką. Na olbrzymią, co najmniej stuletnią lipę, wciągaliśmy skrzynie z głośnikami, podłączone do wzmacniacza – po czym rozpoczynał się wielki koncert.

I płynęły melodie w ciepłe niedzielne popołudnie ponad dachami chat, sadami, zgarbionymi od ciężaru dojrzewających jabłek i ogrodami, pełnymi wonnej maciejki. Były to dźwięki o magicznej sile – przywoływały ludzi na ganki, niektórzy wynosili zydle przed domy, zbierali się grupkami. Muzyka wyzwalała żarty, sprzyjała snuciu rozmów, czyniła nastrój świątecznym. „Cicha woda”, „Wiśniowy sad”, „Dzieci Pireusu”, „Besame mucho” – to tylko pierwsze z brzegu tytuły największych przebojów z tamtych lat. Były one puszczane po kilka razy z rzędu – dziewczyny tańczyły ze sobą, a chłopcy je zaczepiali z papierosami w zębach, śmiejąc się i czyniąc głośne uwagi.

Płyty puszczał największy po kinomechaniku specjalista – chłopak, który przyjeżdżał do krewnych z miasta. Głuchy na wszelkie prośby, konsekwentnie realizował swój repertuar, zresztą dużego wyboru nie było. A tymczasem przy wejściu do

stodoły na stojaku stał już zmontowany projektor, na przeciwległej ścianie jaśniało prześcieradło ekranu. Powoli zapadał zmrok, chowające się za horyzontem słońce gubiło ostatnie promienie, ale niebo było jeszcze jasne.

- Zaczynaj, zaczynaj! - rozlegały się głosy przed stodołą. Ze wszystkich stron na rowerach i motocyklach, pojedynczo i grupkami wciąż napływali ludzie. Kinomechanik jeszcze kilkakrotnie pytał o godzinę, potem w towarzystwie swych pomocników zaczął wypraszać z „sali” niecierpliwych: rozpoczynała się sprzedaż biletów. Powstawał z tym pewien mankament, bo ciągle ich brakowało i trudno było określić, kto już płacił, a kto nie. Zwiększało się grono pomocników, które też nie kwapiło się do płacenia, długo pomocnicy wyliczali swe zasługi i zwlekali. W dodatku stodoła była nieszczelna... Tłumy napierały, domagano się filmu, muzyka już nie grała. Szczęśliwcy usadowiali się w najlepszym miejscu - w pobliżu ekranu. Kiedy wszystkie ławki zostały zajęte, siadano gdzie się tylko dało - na skrzyniach i różnych pudłach, kawałkach desek, wreszcie na toku, to jest na ubitej ziemi. Sprytniejsi wdrapywali się wysoko aż pod dach - na belki i rozłożone na nich drągi, lokowali się na mocowaniach stodoły. Mistrz wieczoru machnął w końcu ręką na wchodzących na gapę i zakrzętał się przy aparaturze.

I oto zgasła jedyna żarówka, zawieszona wysoko na drucie. Jak świętojańskie robaczki rozjaśniały ogniki papierosów wbrew

surowemu zakazowi palenia. Przez moment było tak cicho, że słyhać było odgłosy szczekania psów, potem rozległ się chichot, szybko zagłuszony przez gwizdy i tupanie nogami. Ktoś krzyknął: „Majstra na mydło!” – i w stodole zapanował nieopisany rozgardiasz. Ale oto smuga światła prześlizgnęła się ponad głowami, przesączaając się przez kłęby dymu i rozbłysła na ekranie. Ostrość obrazu pojawiła się nie od razu, lecz nie była to sprawa istotna – wszak na napisy i tak nikt nie zwracał uwagi. Po chwili wszyscy żyli losami bohaterów filmowych, a troski ulatywały gdzieś daleko – i nie daj Boże, żeby się urwała taśma!

Siedzieliśmy z zapartym tchem blisko ekranu, a przed nami snuł się świat daleki i wyśniony, w którym tak wiele się działo! Jakimże kontrastem wydawał się on wobec dusznej stodoły, w której mieszały się zapachy taniej wody kolońskiej i siana, samogonu i cebuli, potu i łuskanych pestek... Ta dziwna mieszanina zapachów kojarzy mi się jednak dzisiaj z niekłamany urokiem objazdowego kina. Kina, które zawsze miało happy end.